

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 2. Warszawa, dnia 1 (13) Stycznia 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu		na prow. w Cesar. i Królest.	
rocznie	rs. 6 k.	rocznie	rs. 8 k. —
półrocznie	„ 3 „	półrocznie	rs. 4 k. —
kwartalnie	„ 1 „ 50	kwartalnie	rs. 2 k. —
miesięcznie	„ „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.	

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w kantorze drukarni Wydawcy J. Korzeniewskiego, Št.-Jerska, 12; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

TREŚĆ. Ziemia przed potopem przez L. Figuiera. — Anioł (wiersz) p. A. Pileckiego. — Historya o pięknym Pecopin i pięknej Bauldour przez Wiktora Hugo. (d. c.). — Jak należy czytać? przez P. Chmielowskiego (dok.). — Korespondencye Opiekuna Domowego: z Zurychu p. K. Rolę. — Rok w Krakowie, wspomnienia z podróży p. F. M. E. — Wyprawa po szczęście, nowella P. Heysego. — Ślady. II. — Biblioteczka domowa. — Z miasta, kraju i świata. — Drzeworyty: Sześć rysunków charakterystycznych.

ZIEMIA PRZED POTOPEM.

I.

Pod powyższym tytułem, Ludwik Figuier nieporównany popularyzator nauk przyrodniczych napisał dzieło, liczące już sześć wydań, obejmujące historyę geologiczną naszej planety. *Ziemia przed potopem* należy niewątpliwie do najlepszych prac tego autora, tak ze względu na umiejętność z jaką tenże grupuje fakty, jak i styl kwiecisty, żywy, niepospolicie obrazowy. Pomimo jednak wielu zalet tej pięknej ze wszech miar książki, wypadało nam gdzieniegdzie poczynić pewne zmiany lub dopełnienia w przekładzie, przyczyna tego bardzo prosta. W kompilowaniu Figuier jest nieporównanym artystą, lecz tam gdzie potrzeba wysnuć z danych faktów pogląd własny, nie zawsze to udaje się mu szczęśliwie. Z tego też względu praca niniejsza nie jest przekładem *in extenso* dzieła Figuiera, co jak sądzimy nie powinno jej szkodzić, gdyż w razie potrzeby jakiej zmiany, opieraliśmy się na spostrzeżeniach najznakomitszych przyrodników naszej epoki.

II.

Uwagi wstępne.

W zarysie *ziemi przed potopem* przedstawimy czytelnikowi obrazy rozmaitych jej przekształceń, zapoznamy go z jej wewnętrznym układem, ze zwierzętami i roślinami jakie poprzedziły ukazanie się na niej człowieka.

Cały cykl czasu jaki upłynął od pierwszego poczęcia się ziemi do jej chwili obecnej, dzielimy za przykładem Buffona na *epoki* a to opierając się na podziałach przyjętych w geologii. Epoki te z kolei podzielimy na *okresy* z oznaczeniem ich cech charakterystycznych i granic, odpowiednio do najnowszych i najściślejszych spostrzeżeń naukowych. Dalej podamy opis warstw ziemnych i jestestw organicznych właściwych każdemu okresowi geologicznemu.

Po astronomii, nie wątpliwie geologia jest jedną z najużyteczniejszych nauk. Czyż człowiek nie powinien znać ziemi na której się zrodził i spędza całe życie? czyż nie powinien wiedzieć w jaki sposób wytworzyły się głębokie pokłady ziemne, jak powstały niziny i góry? Wszakże z wiadomości tego rodzaju korzystać może rolnik i przemysłowiec. Z drugiej strony obraz zwierząt i roślin zniknych oddawna z powierzchni ziemi; tych jestestw kolosalnego wzrostu, potwornych kształtów i całkiem odmiennego ustroju od fauny i flory obecnej, pobudza umysł do poważnych rozmyślań, otwiera myśli rozległy horyzont zagadnień. Wizerunki jestestw przedpotopowych i krajobrazy pradawnych epok geologicznych, uzmysłowią czytelnikowi ten świat znikły i zaspokoją wymagania jego ciekawości.

Dawniej dla wyjaśnienia następstwa po sobie jestestw najzupełniej różniących się od siebie budową, geologowie przyjmowali teoryę katastrof, które niszczyć miały życie. Zgodnie z poglądem Cuviera, naturaliści upatrywali działanie kataklizmu w każdym okresie ziemi. Dziś pogląd ten już nie znajduje w nauce obywatelstwa. Wprawdzie kula ziemska była areną licznych przewrotów, w jednych miejscach stała jej skorupa uległa rozdarciu, w innych, w skutek gwałtownych wstrząśnień pozapadały lądy, wyżłobiły się doliny i wydźwignęły góry. Wszelkie przecież tego rodzaju zjawiska, pomimo straszliwej ich potęgi, nie mogły zachodzić na całym obszarze kuli ziemskiej i niszczyć życie wszech jestestw ją zamieszkujących. Wpływy bowiem takich katastrof były umiejscowione. Jeżeli zatem organizmy jednego okresu geologicznego, różnią się od przejawiających się w drugim okresie, to nie dla tego, aby jaki kataklizm powszechny zrywał wszędzie ogniwa życia i przyczynił się do rozrodu nowych gatunków zwierzęcych i roślinnych. Organizmy ziemskie zmieniały powoli swą budowę, pod wpływem warunków miejscowych; klimat, temperatura, pożywienie i w ogóle ośrodek w jakim żyły, oddziaływały na ich ustrój. Siła twórcza rzec można dążyła do pozyskania form coraz doskonalszych, lecz w tej mierze nie potrzebowała wzywać pomocy żywiołów niszczących. Burząc wszystko, musiałaby stwarzać na nowo. Odkrycia paleontologiczne wskazują nam pewne formy przejściowe w organizmach, pewne zmiany zachodzące w danym typie, które mogły po upływie niezmiernie długich okresów czasu, wytworzyć wybitne różnice.

Nie zawsze ziemia była widownią spokoju i spoczynku, jaką dziś naszym oczom przedstawia. Zstąpmy do kopalni węgla kamiennego lub jakiej rudy metalicznej, a napotkamy tam wiele zjawisk, które nam nasuną wnioski umysł uderzające. W tych podziemiach przejawia się najpierw znaczne podniesienie temperatury. Ciepłomierz nam udowodni, że temperatura ziemi wznosi się o jeden stopień po każdem obniżeniu się do 33 metrów głębokości. Jeżeli badać będziemy ściany pionowe kopalni, dostrzeżemy, że złożone one są z warstw

niekiedy poziomych, lecz częściej skośnych, prostopadłych a nawet sfałdowanych, i jakby od siebie odrzuconych. Dostrzeżemy wówczas warstwy poziome i od siebie równoległe, poprzerzynane w kierunku pionowym lub skośnym żyłami pokładów ziemnych, całkiem odmiennej natury i wyglądu. Te falowania i pochyłości warstw ziemnych w rozmaitych kierunkach, okazują, że jakiś gwałtowny działacz mechaniczny wpłynął na ich wytwór. Gdybyśmy z większą uwagą przyjrzeli się wnętrzu warstw, i z kilofem górniczym w ręku rozkopali otaczającą nas ziemię, nie ma żadnej wątpliwości, że ta praca uwieńczonąby została odkryciem jakiego ciała kopalnego. Szczątki skamieniałe roślin i zwierząt żyjących w pierwszych wiekach geologicznych, są dość pospolite; całe góry z nich wyformowane zostały, a w niektórych miejscowościach z niewielkiej nawet głębokości ziemi, można wydobyć ułamki kości i muszli, lub wyciski roślin kopalnych, należących do gatunków dziś znikłych z powierzchni naszej planety.

Jaki ze znalezienia tych szczątków można wysnuć wniosek? Widocznie ten tylko, że należały one do jestestw, które niegdyś żyły na ziemi i rozradzały się wówczas równie jak zwierzęta i rośliny dziś istniejące, do których zresztą w pewnej mierze zbliżają się ustrojem. Pokład w którym obecnie te kości i szczątki spoczywają, tworzył niegdyś powierzchnię ziemi, a napotykane w nim ślady zwierząt i roślin, dowodzą, że skorupa ziemska od epoki wielce od nas odległej uległa najrozmaitszym zmianom.

Geologia wyjaśnia nam przeróżne kształtowania się ziemi, od chwili jej pierwotnego stanu do czasów obecnych. Z pomocą tej pięknej nauki oznaczamy epokę do jakiej warstwy ziemne należą. Ze wszech nauk geologia jest najmłodszą, dopiero bowiem w pierwszych latach bieżącego stulecia, zaczęła tworzyć wiedzę opierającą się na pewniejszych podstawach. W geologii najwięcej zmieniały się poglądy, co okazuje jak rozwój jej był szybkim. I nie mogło być inaczej, gdyż nauka ta opierając się wyłącznie na spostrzeżeniach, musiała się w części przetwarzać, w miarę, jak fakty zostały lepiej zbadane, co prowadziło do sprostowania, wielu pojęć dawnych, których miejsce nowe zajęły.

Zastosowania geologii są liczne i rozmaite; ze światła jej korzystają inne gałęzie wiedzy, wszelako w pracy niniejszej żądać będziemy od tej nauki jedynie wskazówek posługujących do wyjaśnienia pochodzenia kuli ziemskiej, formowania się stopniowego rozmaitych jej warstw i żył mineralnych, wreszcie opisu i odtworzenia gatunków zwierzęcych i roślinnych dziś znikłych, które w języku przyrodników tworzą faunę i florę starożytnego świata.

Aby poznać pochodzenie ziemi i przyczynę rozmaitych zmian zaszłych w jej ustroju, geologowie tegocześni opierają się na paleontologii, czyli umiejętności studyującej ciała kopalne i hypotezie formowania się naszej planety. W skutek procesu tworzenia się skorupy ziemskiej, warstwy, jedne ułożyły się na drugich, dawniejszych, oraz wydźwignęły się skały ogniowe; z oddziaływania tychże skał na pokłady poprzednio wytworzone, powstały skały zwane *metamorficznemi* czyli *przeobrażonemi*, jakie najpóźniej poznano.

Nazywamy *skamieniałością* wszelkie ciało organiczne, zwierzęce lub roślinne, zagrzebane w warstwach ziemnych, nienależące do żadnego z gatunków dziś żyjących. Te ciała kopalne nie mają żadnego powabu, jakim cechuje się większa część tworów obecnie żyjących. Szczątki organiczne najczęściej bezbarwne, uszkodzone, prawie bezkształtne, mają przecież dla geologa wartość niepospolitą. Za ich pomocą umie on cierpliwie odbudowywać całość, odtwarzać faunę i florę wieków ubiegłych.

Owe ślady pierwotnych organizmów ziemi, przez długi czas poczytywane były za igraszki natury. W ten sposób też były pojmowane i opisywane przez filozofów starożytnych i w dziełach przyrodniczych, jakie nam przekazały wieki średnie.

Kości kopalne a zwłaszcza też należące do słoni, znane już w starożytności, były źródłem najrozmaitszych historyj bajecznych. Legenda przypisująca Achilesowi, Ajaksowi i innym bohaterom wojny Trojańskiej wzrost dochodzący dwudziestu stóp, odnosiła się niewątpliwie do kości słoni. Za czasów Peryklesa zapewniano o znalezieniu w grobowcu Ajaksa kości nadkolankowej tego bohatera czyli rzepki (Patella), wielkością dorównywającej talerzowi, która należała niezaprzeczenie do słonia kopalnego.

Znakomity francuzki artysta Bernard Palissy pierwszy poznał prawdziwe pochodzenie szczątków kopalnych, a wykrył je w Touraine, gdzie się znajdują w wielkiej obfitości.

W 1580 roku Bernard Palissy wygłaszał w dziele swem: *Wody i krynice*, że *kamienie wizerunkowe* (tak bowiem wówczas nazywano skamieniałości) były jestestwami organicznemi, które osadziły się w ziemi i przechowały w głębi mórz, w tychże samych miejscowościach, w jakich je znachodzimy.

W siedmnastym wieku geolog duński Stenon badał muszle kopalne znalezione we Włoszech. Malarz włoski Scilla w 1670 roku, wydał dzieło w łacińskim języku opisujące skamieniałości Kalabryi, którym przypisuje również pochodzenie organiczne.

W ośmnastym stuleciu, w którym wystąpiły dwie przeciwne sobie teorye, to jest *plutonistów* przypisujących ziemi pochodzenie ogniowe, i *neptunistów* uznających w jej wytworze działanie wód, geologowie włoscy zajęli się starannem zbadaniem jestestw kopalnych. Vallisneri studyował osady morskie ziemi włoskiej i szczątki organiczne w nich zawarte. W ślady jego wstępowali Lazzaro, Moro i mnich Gemeralli, który ułożył w pewien system naukowy, poglądy tych dwóch geologów, i równie jak Vallisneri starał się wyjaśnić wszelkie zjawiska przyczyną naturalną, odrzucając *przewroty*, *mrzonki*, *przypuszczenia* i *cuda*. Marselli i Donati badali muszle kopalne Włoch, a szczególniej Adryatyku, w sposób iście naukowy, i pierwsi rozpoznali uwarstwienie pokładów ziemnych też muszle w sobie mieszczących. We Francyi nieśmiertelny Buffon w licznych swych dziełach rozkrzewił poglądy naturalistów włoskich, dotyczące skamieniałości. W przedziwnem dziele *Epoki natury* pisarz ten usiłuje dowieść, że muszle znajdywane w wielkiem mnóstwie w ziemi, a nawet na szczytach gór, należą do innych gatunków niż dziś istniejące. Wszelako pogląd ten był zbyt nowym w obec ówczesnych pojęć i znalazł przeciwników z pośród których Wolter wyśmiał i wyszydził naukową doktrynę śmiałego nowatora. Buffon utrzymywał bardzo słusznie, że muszle na wierzchołkach Alp napotykane, dowodzą w tych miejscach obecności pradawnego morza. Wolter na to odpowiadał, że muszle Alp i Apeninów były rozrzucone przez pielgrzymów wracających z Rzymu. Buffon mógłby pokonać swego przeciwnika, okazując mu całe góry wyformowane z muszli; mógłby go odesłać do Pirenejów, gdzie muszle morskiego pochodzenia, zajmują niezmiernie rozległe przestrzenie, sięgające 2,000 metrów wysokości, wszakże geniusz jego nie naginał się do polemiki i naturalista poprzestawał na oburzaniu się przeciw Wolterowi, wreszcie filozof fernejski uznał za stosowne przerwać rozprawy, w których nie znajdował dla siebie pięknej roli. „Nie chcę, pisał, poróżnić się z Buffonem o głupie muszle.“ Jerzemu Cuvierowi należy się zasługa wysnucia z badań skamieniałości wniosków przedziwnych. Odbudował on geologię, opierając się na mineralogii z jaką powinna w rzeczy samej tworzyć jedną całość.

Znakomitemu Cuvierowi zawdzięczamy odtwarzanie skieletów zwierząt przedpotopowych, i zapoznanie nas z istotną ich budową. Wydobywane kości zwierząt ssących ze wzgórza Montmartre, leżącego tuż pod Paryżem, służyły mu prawie do wszystkich studyj paleontologicznych. Te jego prace pobudziły innych naturalistów do badań na tej drodze w innych częściach Europy. Niektóre skamieniałości dotrwały do naszych czasów doskonale zachowane a mianowicie kości zwierząt ssących mieszczące się w jaskiniach, owady przedziwnie zachowane w żywicach kopalnych, które je ochraniały od skamienienia, i mięczaki z warstw nawet dawniejszych jak jurasowych i kredowych. Inne szczątki przedstawiają uszkodzenia, ich materya organiczna znikła całkiem lub w części. Nierównie rzadziej napotykamy szczątki *skamienione*, to jest takie, które zachowując swój kształt zewnętrzny, mają zamiast pierwotnych znikłych elementów organicznych, obce materye mineralne, jako to: krzemionkę lub węglan wapna.

Geologia skorzystała niemniej z pewnych szczątków kopalnych, których znaczenie długi czas było nieodgadnionem; chcemy tu mówić o koprolitach. Jak sama nazwa grecka wskazuje, koprolity są skamieniałemi wydzielinami wielkich zwierząt kopalnych. Zbadanie tych szczególnych szczątków zapoznało naturalistów z obyczajami i fizyologiczną organizacyą olbrzymich zwierząt przedpotopowych. Rozpoznano w nich łuski ryb, zęby i t. p., co pozwoliło oznaczyć jakiemi gatunkami jestestw żywiły się zwierzęta prastarego świata. Koprolity naprzykład wielkiego płaza morskiego ichtyosaura obejmowały kości ryb, oraz kręgi ichtyosaurów, co dowodzi, że płaz ten żywił się mięsem swego własnego gatunku, jak to czynią ryby żarłoczne dziś istniejące.

Wyciski pozostawione w glinie lub piasku przetworzonym za wpływem czasu w piaskowiec, dają geologowi nowe szacowne wskazówki. Płazy przeddziejowego świata, a w szczególności żółwie, wycisnęły w piaskach skamieniałych jak najdokładniejsze ślady swych stóp. Ślady te posługują często przyrodnikom do rozpoznania gatunku zwierzęcia, które je w wilgotnej glinie odcisnęło. Historycy przebiegając starożytne pola bitew greków i rzymian, nie mogą nigdzie znaleść pamiątek słynnych zdobywców, czas obalił pomniki ich zwycięztw, zatarł wszędzie ślady ich armij. Miliony barbarzyńców pustoszyło ogniem i mieczem Europę, a jednak dziś nie znajdujemy żadnego znaku ich pochodu. Przeciwnie liche płazy pełzające przed tysiącami wieków na powierzchni naszej planety, pozostawiły niezatarte ślady swych wycieczek. Legie Hannibala i hordy Hunnów nie pozostawiły nic po sobie, tymczasem wędrówki mizernego żółwia w morzach pierwotnych odcisnęły się w warstwach ziemnych. Wyciski te równie są dla nas widoczne, jak pozostawiane na świeżo spadłym śniegu przez zwierza. Archeologowie zachwycają się starożytnemi naczyniami greckiemi lub etruskiemi, czemże one są jednak w porównaniu z rzeczywistemi antykami ziemi od miliona lat przechowanemi w jej głębi? Wiele jestestw nie pozostawiło żadnych szczątków swego ciała, pomimo to kształty tegoż odcisnęły się w piaskowcu, w wapieniach, w marglu lub węglu kamiennym, a tem samem pozwoliły oznaczyć gatunek do którego te zwierzęta należały.

Zdziwi się zapewne czytelnik, gdy mu powiemy, że ziemia przechowała niemniej wyciski kropli deszczów jakie spadały na powierzchnię starożytnego świata. W rzeczy samej krople te przechowały się w skutek zeschnięcia się piasku, który później przetworzył się w twardy piaskowiec, a tem samem wyciski deszczów, dotrwały do dnia dzisiejszego. Co więcej, falowania wód przepływających po piaskach mórz świata pierwotnego, odcisnęły się z niezmierną wyrazistością, w skutek tegoż samego fizycznego procesu.

Hypoteza rozpalonego wnętrza kuli ziemskiej jest wielce starożytną, przyjęta przez Kartezyusza, rozwinięta przez Leibnitza i Buffona, stwierdzoną została licznemi faktami z których główniejsze przytaczamy.

Schodząc do kopalni, uczuwamy podniesienie się temperatury, której stopień wzrasta w miarę jak zapuszczamy się głębiej.

Strugi gorącej wody wypływającej ze studni artezyjskich i ze źródeł takich naprzykład jak Sprudel w Karlsbadzie lub Gejsery w Islandyi dowodzą przyrostu ciepła w głębi ziemi.

Wulkany niemniej okazują, że wewnątrz ziemi tli ogień, gdyż z ich kraterów buchają gazy gorące i wylewa się płynna roztopiona do czerwoności lawa. Wreszcie wywiązywanie gazów i gorącej pary wodnej ze szczelin w czasie trzęsienia ziemi, składa niemniej poważne świadectwo rozpalonego jądra naszej planety. Powiedzieliśmy wyżej, że temperatura kuli ziemskiej wznosi się prawie o jeden stopień po każdym przebiegu 33 metrów głębokości. Ten przyrost temperatury sprawdzonym został wszędzie, gdzie ciepłomierz mógł sięgnąć a głównie w studniach artezyjskich. Ponieważ znamy dokładnie długość promienia kuli ziemskiej, to przyjmując niezmienność tego przyrostu ciepła, obliczono, że temperatura ziemi powinna wynosić 195,000 stopni ciepła! Wynika stąd, że wnętrze kuli ziemskiej, równie jak i sąsiednie mu części, jest w stanie płynnym, gdyż w tak wysokiej temperaturze żadne ciało w stanie stałym utrzymać się nie może.

Prace Wernera, Huttona, Leopolda Bucha, Humboldta i Cordiera, dały początek tej hypotezie stanowiącej podstawę nowoczesnej geologii.

W skutek płyności części środkowych kuli ziemskiej, skorupa jej w jednych miejscach pozapadała, w drugich wygórowała, a tem samem powierzchnia naszej planety uległa znaczącym zmianom. Jasną jest rzeczą, że przyjmując istnienie ognia we wewnętrzu ziemi, taż ulegać musiała ruchom miejscowym, w skutek czego skorupa ziemska tu i ówdzie porozdzierała się. Nie mniejszy wpływ na ten proces wywierało oziębianie się tejże skorupy.

W skutek oziębiania się ziemi, części jej pierwotnie płynne, zaczęły zwolna gęstnieć i przechodzić w stan stały, a tem samem objętość ziemi stopniowo stawała się mniejszą. Metale roztopione przechodząc w stan stały, zmniejszyły swą objętość do jednej dziesiątej części odnośnie do pierwotnej. Rzeczą jest naturalną, że skorupa zewnętrzna ziemi nie mogła już dokładnie przystawać do kulistego swego wnętrza, zredukowanego do małych rozmiarów. W skorupie tej wytworzyły się naówczas fałdy, zapadłości i garby z których powstały pasma górskie. Gdzieniegdzie znowu ziemia pękając wytworzyła ogromne szczeliny, przez które z głębi wydobywały się materye płynne, a te oziębiając się na powierzchni, przeszły w stan stały i sformowały góry rozmaitej wysokości. Jeżeli szczeliny były zbyt wązkie, materye płynne rozpalone zwracały się w swe wnętrze i tworzyły w pośród warstw ziemnych długie i wązkie sznury, które nazywamy *żyłami kruszcowemi.*

Zdarzało się wreszcie, że zamiast materyj roztopionych, takich jak granit lub związki metalorodne, wypływały ze szczelin istne rzeki wód wrzących, przesyconych rozmaitemi solami mineralnemi, to jest krzemianami, związkami wapiennemi i magnezyowemi.. Te sole mineralne łącząc się z razu z temi, jakie już w sobie zawierały morza, a następnie oddzielając się od tychże wód, złożyły pokłady zwane *warstwami osadowemi.*

Po wytworze garbów, fałd i szczelin w skorupie ziemskiej, które zmieniły widownię jej powierzchni, nastąpił okres ciszy.

Szczątki wydarte pędem wód od kontynentu, przeniesione zostały w inne miejsca. W późniejszym czasie te materyały różnorodne osadzając się wytworzyły nowe warstwy zwane *przechodowemi.*

Takiem jest pochodzenie gór, skał wulkanicznych, żył kruszcorodnych, warstw osadowych i przechodowych. Fałdowanie się i wyniesienie skorupy ziemskiej, wypływy materyj roztopionych i wód gorących nasyconych solami mineralnemi, rozkład skał na ich powierzchni przez morza i wody deszczowe, wytwór osadów warstwowanych, oto zjawiska powtarzające się w ciągu okresów geologicznych, które następowały po sobie aż do dni naszych. Tej to seryi zjawisk, skorupa ziemska zawdzięcza swą budowę zewnętrzną i wewnętrzną, tyle złożoną i rozmaitą.

Odpowiednio do powyższych uwag, materye mineralne składające kulę ziemską, moglibyśmy podzielić na trzy grupy obejmujące:

1° *Skały krystaliczne* stanowiące pierwotnie w skutek ciepła kuli ziemskiej materyę płynną, następnie zeskorupiałą w epoce oziębiania się ziemi.

2° *Skały osadowe* pochodzące z rozmaitych materyj mineralnych, osadzonych przez wody morskie, jako to z krzemianów, węglanów wapna i magnezyi.

3° *Skały ogniowe*, równie jak pierwsze krystaliczne, wytworzone w różnych epokach geologicznych, przez wypływ z warstw ziemnych, materyi płynnej zajmującej wnętrze ziemi.

Masy mineralne, z których powstały skały osadowe, tworzą warstwy porządkowe wskazujące ich wiek względny. Budowa mineralogiczna tychże warstw i szczątki organiczne jakie one w sobie zawierają, nadają właściwe im cechy, pozwalające odróżniać każdą warstwę od jej sąsiednich.

Nie idzie zatem, aby układ porządkowy tych warstw, spoczywających na sobie, napotykanym był wszędzie na kuli ziemskiej. W skutek częstych wylewów granitu, porfiru, serpentyna, trachytu, bazaltu i lawy, pokłady te często zostają poprzerywane i zastąpione innemi.

Na podstawie spostrzeżeń poczynionych przez geologów wszelkich krajów, oznaczono prawidłowy układ warstw na sobie spoczywających, odnośnie do ich wieku, czyli następstwo rozmaitych pokładów składających skorupę stałą kuli ziemskiej. Podajemy niżej układ tych warstw postępując od wnętrza ziemi do jej powierzchni.

Skały pierwotne.

Skały przechodowe.	utwor syluryczny.
	„ dewoński
	„ węglowy
	„ permski
Skały drugorzędowe.	„ tryasowy
	„ jurasowy
	„ kredowy
Skały trzeciorzędowe.	„ eoceniczny
	„ mioceniczny
	„ plioceniczny
Pokłady czwartorzęd.	„ napływy dawne
	„ „ nowe

Wypada nam teraz dać obraz rozmaitych *epok*, jakie odróżnić od siebie można w stopniowych formacyach ziemi. Epoki noszą następne nazwy zastosowane do warstw wyżej wymienionych:

Epoka pierwotna.
„ przechodnia.
„ drugorzędowa.
„ trzeciorzędowa.
„ czwartorzędowa.

Podamy obraz jestestw zamieszkujących ziemię w tych epokach, i przyczyny zniknienia ich z jej powierzchni, oraz opiszemy zwie-

rzęta i rośliny właściwe każdemu utworowi, słowem skreślimy obraz tworzenia się ziemi i istot ją ożywiających poczynając od pierwotnych organizmów aż do człowieka.

d. c. n.

ANIOŁ.

Gdy zbyt poważne maleńkie pachole,
Dumałem z cichą tęsknotą na czole,
Duch, z dziecięcego zbudzony powicia,
W pieluchach marzeń, budził się do życia
I gdzieś daleko ulatał.... daleko;
Wtedy przedemną w rajskiej szacie białej
Stanęła postać i na bladej skroni,
Złożyła kwiecie tak cudownej woni,
Że wszystkie tętna duszy mej zawrzały,
I łza zachwytu błysła pod powieką....

* * *

Później, gdy w wrzące dni młodzieńczych chwile,
Pierś mą paliły namiętności żary,
Lub gdym na kwiatach roił sny motyle,
I z laurów sławy zażądał ofiary;
Znowu stanęła blada, uśmiechnięta
Ta postać, którą duch dotąd pamięta,
I na wzburzone namiętnością łono
Złożyła głowę, kwieciem umajoną,
I zwolna... zwolna, żądz dumnych mogiły
Pogodne rajskie blaski oświeciły.

* * *

A kiedym płakał na szczęścia pogrzebie,
Gdy duch mój w krwawej upadał rozterce,
Aniele biały, znów ujrzałem ciebie!
Znowu raj błogi ożywił mi serce,
I łzą obmyłem dni upadku winy....

* * *

Lecz ktoś ty? powiedz! — czy z niebios krainy,
Duch twój na chwilę pośród ziemian gości?
Ktoś ty? . . . .
. . . . . . Jam anioł braterskiej miłości!

Antoni Pilecki.

HISTORYA O PIĘKNYM PECOPIN
I PIĘKNEJ BAULDOUR.

przez

Wiktora Hugo.

(Dalszy ciąg)

III.

W którym wytłómaczono, jaka jest różnica pomiędzy uszami młodzieńca, a uszami starca.

Nazajutrz Bauldour przędła w pokoju, Pecopin polował w lesie. Był sam z jednym tylko psem.

Zdawszy się na los szczęścia, jak się to zwykle robi na polowaniu, doszedł do folwarku leżącego na brzegu lasu Sonn, na granicy dóbr Sonneck i Falkenburga.

Folwark ten od wschodu ocieniały cztery wielkie drzewa: jesion, wiąz, jodła i dąb. Zwano je w całej okolicy drzewami czterech ewangelistów.

Bodaj, że to była czwórka zaczarowana!

Kiedy Pecopin przechodził pod jej cieniem, cztery ptaki siedziały na czterech drzewach: sójka na jesionie, kos na wiązie, sroka na jodle a na dębie kruk..

Głosy tych czterech ptaków siedzących na tych czterech drzewach olbrzymach, dziwnie się mieszały z sobą, i chwilami zdawało się, że się pytają i odpowiadają sobie wzajemnie.

Dolatywał też głos gołębia z wnętrza lasu, i głos kury gdaczącej na dziedzińcu folwarcznym.

O kilka kroków dalej, zgarbiony jakiś starzec układał pod murem gałęzie zbierane na opał.

Zobaczywszy zbliżającego się Pecopina, starzec porzucił zajęcie, wyprostował się i zapytał:

— Kawalerze, czy rozumiesz co mówią te ptaki?

— Poczciwcze—odpowiedział Pecopin—co to mnie obchodzić może?

— Panie—odrzekł wieśniak—dla młodzieńca sójka śpiewa, sroka skrzeczy, kruk kracze, kos gwiżdże, gołąb grucha, kura gdacze, dla starca ptaki te mówią.....

Rycerz wybuchnął śmiechem. — A to co znowu? co za dziwne marzenia!

— Źle robisz — rzekł starzec poważnie — źle robisz panie Pecopin, że śmiejesz się ze mnie.

— Skądże ty wiesz kto jestem, skoro mnie nigdy nie widziałeś?

— Ptaki mi powiedziały — odparł na to starzec.

— Szalonyś mój poczciwcze — mruknął Pecopin i puścił się dalej.

W niespełna godzinę później, przechodząc w lesie przez polankę, usłyszał Pecopin głos rogu myśliwskiego. Wkrótce potem ukazał się wśród lasu piękny orszak rycerzy.

Byłto hrabia Palatyn wyjeżdżający na polowanie.

Hrabia Palatyn wyjeżdżał na polowanie w towarzystwie burgrafów, to jest hrabiów na zamkach, wildgrafów, to jest hrabiów na lasach, landgrafów, to jest hrabiów na lądzie, rhingrafów, to jest hrabiów z wybrzeży Renu i raugrafów, to jest hrabiów z prawa pięściowego. Jeden z rycerzy Falzgrafa, nazwiskiem Gaïrefroi, spostrzegł Pecopina i zawołał:

— Hola piękny strzelcze, czy nie pójdziesz z nami?

— A gdzież wy idziecie—spytał Pecopin.

— Piękny strzelcze, rzekł Guïrefroi, idziemy upolować kanię, która jest w Heimburgu i wytępia nam bażanty; idziemy upolować sępa, który jest w Vaugstbergu i niszczy nasze jastrzębie; idziemy upolować orła, który jest w Rheinstein i tępi nasze kobusy. Chodź z nami!

— A kiedyż wrócicie—zapytał Pecopin.

— Jutro—rzekł Gaïrefroi.

— Idę z wami!

Polowanie trwało trzy dni.

Pierwszego dnia Pecopin zabił kanię, drugiego dnia Pecopin zabił sępa, trzeciego dnia Pecopin zabił orła. Hrabia Palatyn zachwycał się tym dzielnym łucznikiem. — Rycerzu z Sonneck—rzekł do niego—daruję ci lenność na Rhineck, przyległym do mojej wieży w Gattenfels. Pójdziesz z nami do Stachleck, ażeby odebrać inwestyturę i złożyć mi przysięgę homagialną na placu publicznym i w obec ławników: In mallo publico et coram scabinis, jak nakazują prawa św. cesarza Karola Wielkiego. Trzeba było posłuchać. Pecopin posłał do Bauldour umyślnego. W liście swoim smutnie ją zawiadamiał, że łaskawy rozkaz Falzgrafa, zmuszał go udać się natychmiast do Stachleck, w bardzo ważnym i pilnym interesie. „Bądź spokojną pani droga moja, zakończył, w przyszłym miesiącu powrócę.“ Po wyprawieniu posłańca Pecopin pojechał za Palatynem i nocował z rycerzami świty księcia w kasztelanii w Bacharach. Tej nocy miał on dziwny sen, ujrzał wejście do lasu Sonneck, folwark, cztery drzewa i czterech ptaków. Ptaki jednakże nie krzyczały, nie śpiewały, nie gwizdały, lecz mówiły. Głosy ich, wśród których rozróżnić można było głosy gołębia i kury, mieszały się razem w dziwny dialog, który Pecopin śpiąc najwyraźniej słyszał.

SÓJKA.

Kura jest na folwarku.

KOS.

Gołąb leci przez bór.

SÓJKA.

Kura mówi Pecopin.

KOS.

Gołąb woła Bauldour.

KRUK.

Pan w lesie.

SROKA.

Pani sama na zamku wśród gór.

SÓJKA.

Czy on wróci z Alepu?

KOS.

Z Fezu.

KRUK.

Z Pamanhour.

SROKA.

Gołąb mówi że wróci wbrew opinii kur.

KURA.

Pecopin! Pecopin!

GOŁĄB.

Bauldour! Bauldour! Bauldour!

Pecopin obudził się zlany zimnym potem. W pierwszej chwili przypomniał sobie starca, i nie wiedział dla czego, przestraszył się tego snu i tej rozmowy ptaków. Chciał odgadnąć co to miało za znaczenie i nie odgadł, potem usnął, a nazajutrz kiedy dzień się ukazał, kiedy zobaczył piękne słońce, ktore rozpędza widziadła, rozprasza sny i ozłaca mgłę, nie myślał już ani o czterech drzewach ani o czterech ptakach.

IV.

W którym jest mowa o rozmaitych przymiotach niezbędnych dla rozmaitych poselstw.

Pecopin byłto szlachcic mający dobre imie, wysokie urodzenie, świetny dowcip i piękną postawę.

Po wejściu na dwór Falzgrafa i objęciu w używalność nowej lenności, Pecopin tak dalece podobał się Palatynowi, że pewnego dnia ten zacny książe rzekł do niego:

— Przyjacielu, wyprawiam ambasadę do mojego kuzyna księcia Burgundyi, ciebie więc wybrałem na posła z powodu twojego dobrego imienia.

Pecopin musiał spełnić to życzenie księcia. Po przybyciu do Dijon, do tego stopnia odznaczył się piękną wymową, że pewnego wieczora książę wychyliwszy trzy tęgie kielichy wina z Bacharach, rzekł:

— Panie Pecopin, uważamy cię za przyjaciela, a że mamy pewnego rodzaju nieporozumienia z królem Francyi, i hrabia Palatyn pozwala na wysłanie cię do Paryża, jedź więc, albowiem wybraliśmy cię na posła z powodu wysokiego twojego rodu.

Pecopin pojechał do Paryża, gdzie król wielce go sobie upodobał i biorąc go na stronę pewnego ranka, rzekł:

— Posłuchaj mnie panie Pecopin, ponieważ Palatyn pożyczył cię księciu Burgundzkiemu, dla służenia Burgundyi, Burgundczyk musi pożyczyć cię królowi Francyi na usługi chrześciaństwa.

Potrzebuję szlachetnego rycerza ażeby z mojej strony zażądał pewnych objaśnień od Miramolina Maurów w Hiszpanii, ciebie więc wybrałem na ambasadora z powodu świetnego dowcipu jaki posiadasz.

Można odmówić swojego wotum cesarzowi, można odmówić własnej żonie, papieżowi, ale nie można nic odmówić królowi Francyi.

Pecopin pojechał więc do Hiszpanii.

W Grenadzie Miramolin przyjął go jak najlepiej i zaprosił do Alhambry.

Tam wyprawiano codzień uczty, turnieje i polowania z sokołami, w których Pecopin brał udział jako zręczny szermierz i znakomity myśliwy.

Miramolin z powodu że był murzynem, miał prześliczne białozory i cudowne tuńczyki, z niemi polował na całe stada ptaków, piękniejszych nad wszystko co wyobrazić sobie można.

Pecopin jednak wśród tylu zabaw nie zapomniał o interesach króla Francyi. Kiedy już układy skończono, rycerz poszedł pożegnać sułtana.

— Żegnam cię panie chrześcijański—powiedział Miramolin—i życzę szczęśliwej podróży do Bagdadu.

— Do Bagdadu?—zawołał Pecopin.

— Tak rycerzu; albowiem ja nie mogę podpisać traktatu z królem paryskim, bez zezwolenia kalifa Bagdadu, jako głowy wiernych, muszę więc natychmiast wysłać kogoś znakomitego do kalifa, i ciebie to wybrałem z powodu twej pięknej postawy.

Kiedy kto jest u Maurów, musi to robić co każą Maurowie. To są psy niewierne.

Pecopin pojechał do Bagdadu. Tam spotkał go dziwny wypadek.

Pewnego dnia kiedy przechodził około murów seraju, sułtanka, faworyta, spostrzegła go i pokochała od razu, taki był piękny, dumny i smutny.

Posłała do niego murzynkę niewolnicę, i ta spotkawszy Pecopina w ogrodzie miejskim, około wielkiej lipy drobnolistnej, która tam po dziś dzień stoi, oddała mu talizman, mówiąc:

— Dar ten pochodzi od pewnej księżnej która cię kocha, a której nigdy w życiu nie zobaczysz. Schowaj ten talizman. Dopóki będziesz go mieć przy sobie, będziesz młodym. W chwili niebezpieczeństwa życia, dotknij go a ocali cię.

Pecopin na wszelki wypadek wziął talizman, zrobiony z pięknego turkusu z napisami w nieznanym języku. Przypiął go do łańcucha złotego na szyi.

— Teraz panie—rzekła murzynka odchodząc—strzeż talizmanu; dopóki będzie ten turkus na twojej szyi nie zestarzejesz się ani o jeden dzień; jeżeli zaś zgubisz go, w jednej chwili spadną na ciebie wszystkie lata po drodze przebieżone. Bądź zdrów, piękny giaurze.

To powiedziawszy murzynka odeszła. Na nieszczęście kalif widział niewolnicę sułtanki jak rozmawiała z rycerzem chrześcijańskim. Kalif ten był nadzwyczajnie zazdrosny i trochę magik. Zaprosił Pecopina na ucztę i za nadejściem nocy wyprowadził go na wysoką wieżę.

Pecopin nie myśląc o niczem zbliżył się do samej poręczy bardzo niskiej, kalif zaś tak się odezwał:

— Rycerzu, hrabia Palatyn wysłał cię do księcia Burgundyi z powodu dobrego imienia, książę Burgundzki wysłał cię do króla Francyi z powodu wysokiego twojego rodu, król Francyi wysłał cię do Miramolina Grenady z powodu świetnego dowcipu, Miramolin Grenady wysłał cię do kalifa Bagdadu z powodu twej pięknej postawy, ja zaś z powodu twego dobrego imienia, wysokiego rodu, świetnego dowcipu i pięknej postawy, wysełam cię do diabła.

Powiedziawszy to popchnął tak gwałtownie Pecopina, że ten stracił równowagę i spadł z samego szczytu wieży.

V.

Dobra myśl pociąga za sobą dobre skutki.

Człowiekowi spadającemu w przepaść, w jednej chwili jak błyskawica, okazuje się całe życie które traci i śmierć co go czeka. W tej ostatniej chwili Pecopin przesłał myślą pożegnanie Bauldourze, kładąc rękę na sercu. Zaledwie jednak dotknął magicznego turkusu, uczuł, że niewidzialna ręka unosi go jak na skrzydłach, zamiast spadać ulatywał. Tak przeleciał cała noc. Z pierwszym brzaskiem jutrzenki niewidzialna ręka złożyła go na pustej płaszczyznie po nad brzegiem morza.

d. c. n.

Jak należy czytać?

Wskazówki praktyczne,

(podane przez Piotra Chmielowskiego).

(dokończenie)

Przedewszystkiem co się tyczy wyrazów, należy je sobie zapisać jako rzecz zupełnie nową dotąd, ani słyszaną ani widzianą. Następnie, trzeba się spytać kogoś, co ten wyraz oznacza i nie spocząć w pytaniach dopóty, dopóki prawdziwego jego znaczenia nie dojdziemy. Nie wstydźmy się przyznać do naszej niewiadomości, bo nie ma takiego człowieka na ziemi, coby czegoś nie wiedział, co innym ludziom dobrze jest znane. Zadużo jest rzeczy i zjawisk na świecie, ażeby pamięć i rozum jednego człowieka mogły je objąć i sobie przyswoić. Przez cały ciąg życia uczymy się czegoś, a prawdziwie politowania godzien jest ten, kto mniema, że ubliżałby swojemu rozumowi, gdyby się kogoś pytał o objaśnienie. Broń Boże! nikomu to nie ubliża, że nie wie np. co jest aeronauta, bo nie każdy może wszystkie wyrazy cudzoziemskie rozumieć; ale gdy mu się powie, że aeronauta jest to człowiek, umiejący urządzać balony i wznosić na nich w powietrze, to zrozumie to bardzo dobrze. Kto jednak nie ma się kogo zapytać o objaśnienie wyrazów nieznanych, temu możemy poradzić, żeby sobie kupił, albo słownik języka polskiego, albo też którą z encyklopedyj t. j. takich książek, które w abecadłowym porządku zawierają objaśnienie już nie tylko wyrazów ale i opis rzeczy, wypadków, zjawisk, które były lub są na ziemi i wśród ludzi. Tym lub innym sposobem dowiedziawszy się o znaczeniu wyrazu, należy to objaśnienie sobie zapisać swojemi własnemi słowami; a wówczas z pewnością nigdy go już nie zapomnimy. Z początku przy czytaniu takich wyrazów nie znanych napotykać będziemy znaczną liczbę; ale nie zrażajmy się powolnością naszej roboty; opłaci się nam ona stokrotnie, naprzód dla tego, że zyskamy sobie pewną liczbę wyrazów dotąd nieznanych, a teraz t. j. po objaśnieniu doskonale już rozumianych; a powtóre, że później czytanie daleko szybciej postępować będzie, gdyż pamięć o tych wyrazach w ten sposób nabytych nie będzie potrzebowała ciągłego odświeżania i co zatem idzie ciągłego wypytywania się czy to ludzi, czy encyklopedyi.

Teraz zwracamy się do drugiej ważnej przeszkody, do nierozumienia pojęć. Wszystkie rzeczy, któreśmy sami widzieli, słyszeli, smakowali i t. d. są nam bardzo dobrze znane, przynajmniej z pozoru; wszystkie zaś rzeczy, których sami własnemi zmysłami dostrzegać nie możemy, bardzo trudno znajdują przystęp do naszego umysłu. Kto np. nie widział nigdy na własne oczy lwa, a słyszy tylko sam wyraz, ten może nadawać temu zwierzęciu (jeżeli wie że to jest zwierze), wszystkie możliwe postaci innych znanych sobie zwierząt; kto widział lwa na obrazku, ten ma już dokładniejsze o nim wyobrażenie, chociaż jeszcze nie może sobie jasnej zdać sprawy, jakiego on jest koloru, jakiej bywa wielkości, jakie ma oczy, i t. d. Kto wreszcie widział sam lwa, ten doskonale może opisać tego jednego, którego widział; ale nie może nic powiedzieć o wielkości, kolorze skóry i t. p., wszystkich lwów na świecie. Dopiero potrzeba było widzieć lwy w różnych krajach, potrzeba je było porównać ze sobą, ażeby dać dokładny i zupełny obrazek wszystkich gatunków lwów, obraz jaki w każdej zoologii, czyli w nauce o zwierzętach znaleść można. Cośmy powiedzieli o lwie, to można zastosować do wszystkich zwierząt, do wszystkich roślin, do wszystkich kamieni, do wszystkich krajów na kuli ziemskiej się znajdujących, których nie widzieliśmy na własne oczy. Oczywiście nie wszyscy mogą widzieć je wszystkie; ale też tego i nie potrzeba. Mamy na to inne sposoby,

Poznanie wszystkich rzeczy i wszystkich zjawisk na tym świecie polega na tem, ażeby dojść ich *podobieństwa* lub *różnicy* i znaleść przyczynę, która je takiemi a nie innemi czyni. Chcąc więc poznać jakąkolwiek rzecz dotychczas nam nieznaną, musimy w niej odszukać podobieństw i różnic w porównaniu z rzeczami dobrze nam znanemi, tudzież zapytać się skąd ta rzecz pochodzi i dla czego jest taką, jaką jest. Ażeby zaś można było przedsięwziąć takie porównanie, potrzeba sobie dokładnie *wyobrażać* znane już nam przedmioty i znać szczegółowo wszystkie ich części składowe, jako też obejmować umysłem ich całość. Kto dobrze nie zna rzeczy bliskich i niby znanych, ten nigdy nie poweźmie jasnego wyobrażenia o rzeczach, które przez porównanie poznajemy.

Tak np. chcemy sobie wystawić rzeczywisty obraz Ameryki, której nigdyśmy nie widzieli. Ażeby ten obraz w umyśle swoim utworzyć, potrzeba przedewszystkiem wiedzieć, jak wygląda ziemia, grunt, z którego się kraje składają; potrzeba więc wiedzieć, co to jest płaszczyzna, co to jest góra, co to jest rzeka, jezioro i t. p. co to jest miasto, wieś i t. p. Znając to wszystko możemy sobie wyobrazić, że Ameryka jestto kraj podobny jak np. królestwo Polskie, w którem znajdują się również miasta, wsie, góry, doliny, rzeki, jeziora i t. d. W tem oczywiście leży podobieństwo dwu krajów, podobieństwo, za pomocą którego łatwo sobie pewną przestrzeń ziemi wyobrażamy. Ale jaka jest ta przestrzeń, w jakim stosunku znajdują się tam góry do dolin, rzeki i jeziora do lądu stałego, grunta nieuprawne do uprawnych, lasy do pól i pastwisk; o tem z takiego porównania nic jeszcze nie wiemy.

Ażeby mieć wyobrażenie o przestrzeni potrzeba wiedzieć, że Ameryka jest blisko 340 razy większa od królestwa Polskiego; wprawdzie nie możemy sobie dokładnie wyobrazić takiej przestrzeni, boć przecież i królestwa Polskiego nikt sobie nie przedstawi fantazyą w całej jego rozciągłości; ale bądź co bądź będziemy mieli jakie takie pojęcie o rozległości tej nieznanej nam części świata.

Chcąc zrozumieć stosunek gór do nizin, potrzeba wiedzieć, że królestwo Polskie należy do najmniej górzystych okolic ziemi, że jestto płaszczyzna z małemi ledwie pół wiorsty w górę sięgającemi wyniosłościami, gdy tymczasem w Ameryce obok płaszczyzn i stepów znajdują się góry na wiorst sześć i siedem w górę wystrzelające.

Takim sposobem przeszedłszy liczbę miast, kształt brzegów, wyobraziwszy sobie morze oblewające ze dwu stron Amerykę, a z dwu drugich cieśniny napełnione wodą; przypomniawszy sobie wyspy, półwyspy, dalej różne gatunki gruntu i klimatu, potrafimy sobie zdać sprawę z tego, jak też wygląda Ameryka. Zapewne taki, coby ją przeszedł wzdłuż i wszerz, coby objechał ją ze wszystkich stron, poznałby ją może lepiej i miałby jaśniejsze i dokładniejsze o niej wyobrażenie; ale na to potrzebowałby może całe swoje życie poświęcić. My, czytając książki opisujące Amerykę, nie potrzebujemy tyle czasu marnować; korzystamy bowiem z doświadczenia tysięcy ludzi i czterystu blisko lat. Ażeby pomódz swojej wyobraźni, kładziemy przed sobą mapę t. j. obraz tej części ziemi i przypatrujemy się jej kształtom. Czytając opis i patrząc na mapę, dojdziemy do tych samych wiadomości w przeciągu miesiąca, któreby mógł posiąść człowiek w przeciągu całego życia, objeżdżając Amerykę, przechadzając się po niej, rozmawiając z ludźmi tam żyjącemi; jednem słowem badając ją pod wszelakiemi względami.

Ale ażeby istotnie takich nabyć wiadomości, potrzeba, jak powiedziałem, czytając opis i patrząc na mapę wyobrażać sobie jak można najdokładniej wszystkie szczegóły opisu i wszystkie kreski na mapie; do takiego stopnia, żeby się nam wreszcie wydawało jakbyśmy na nią z zmniejszonej postaci patrzyli. Takie wyobrażanie sobie przedmiotów niewidzianych nie udaje się z początku i bardzo wielu, co się uczyli nauki o ziemi, nie pomyśleli nigdy nad tem o czem czytali i jak też może wyglądać ten kraj, którego jeografią poznawali. I dla tego też bardzo mało z tych ludzi, posiada dokładną znajomość tych krajów, nad poznaniem których parę lat się namęczyli. Jeżeli wyobrażanie sobie tego co czytamy, idzie z początku oporem, potrzeba sobie pomagać *porównywaniem* z krajem, w którym mieszkamy. Nauka zapoznająca nas z tym krajem, powinna wyprzedzać inne i być dla nich podstawą.

A co tu powiedziałem o nauce krajów, to się stosuje do poznania wszystkich innych przedmiotów lub też wypadków. I tak np. chcąc odnieść prawdziwą korzyść z czytania dziejów czyli historyi, potrzeba wszystkie osoby i wszystkie wypadki, o których czytamy, wyobrażać sobie tak, jakbyśmy je żywemi przed sobą widzieli. Historycy pomagają nam w tej pracy bardzo dzielnie, gdyż opisują postawę, skład twarzy, a nieraz ubiór osób, o których opowiadają; tudzież starają się odmalować zdarzenia, tak, jakby opowiadali o wypadkach, na które własnemi oczyma patrzyli. Otóż należy nam pójść za wskazówkami przez historyków danemi i przedstawić sobie w wyobraźni wszystko, tak, jak niegdyś było ze wszystkiemi szczegółami.

Na tem jednak nie koniec. Choćbyśmy sobie wyobrazili jak najdokładniej i osoby i wypadki, nie zrozumiemy ich, nie pojmiemy, dla czego tak albo owak te osoby postępowały, dlaczego to albo owo tak się odbyło; jeżeli nie postaramy się porównać znanych nam stosunków dzisiejszych ze stosunkami dawnemi. I tu potrzeba pracy i trochę wysiłku; ale znowuż nie tak wielkiego, ażebyśmy się nim przerazić mieli. Jakoż należy nam znać dobrze stosunki rodzinne, które w każdej familii mają miejsce, stosunki miejskie i wiejskie, to co się dzieje w miastach i wsiach, ażeby przez porównanie powziąść wyobrażenie, jak też stosunki te dawniej wyglądały. Oczywiście z początku takie powierzchowne tylko porównanie będzie bardzo niedostateczne a nawet błędne; w miarę jednakże posuwającego się czytania historyi, w miarę poznawanej większej liczby ludzi i wypadków, w miarę zwiększania się cyfry porównywanych wypadków lub przedmiotów, wyobrażenia nasze zaczną się rozjaśniać i dokładniejszemi stawać. Nie od razu Kraków zbudowano, i nie od razu też nasze pojęcia stają się takiemi, jakiemi być powinny, jeżeli mają być prawdziwe; ale droga dopiero co wskazana, najpewniej doprowadzić może do tego celu.

Lecz i na porównywaniu stosunków historycznych poprzestać nie można. Potrzeba jeszcze przy każdym wypadku pytać ustawicznie: *dlaczego* on jest taki, jaka była jego przyczyna i źródło, z którego wypłynął. Tu się powtórzy to samo, co było z porównaniem. Od razu nie wynajdzie się prawdziwej istotnej przyczyny; czasami autor pomoże nam w tem i powie, że przyczyną tego a tego wypadku, było to a to. Ale na jego zdaniu nie zawsze można pod tym względem poprzestać; należy jeszcze samemu się namyślać: a może też wynajdzie się jeszcze jaka inna przyczyna, której historyk nie zauważył albo też nie uważał za potrzebne o niej wspomnieć. Historykowi można było to zrobić; bo on miał dużo pracy przed sobą i nie mógł się drobiazgowo nad każdem zdarzeniem rozszerzać; ale czytelnik musi tu sam trochę pomyśleć, ażeby nic takiego w umyśle jego nie pozostało, czemuby niemógł naznaczyć przyczyny, albo przynajmniej, żeby w nim powstała myśl wynalezienia czy odkrycia tej przyczyny kiedyś w przyszłości. W ten sposób czytając historyą, nie tylko zaspokoimy swoję ciekawość; ale udoskonalimy i rozwiniemy swój rozum, jako też skorzystamy z doświadczenia całej przeszłości, znając przyczyny i skutki wypadków.

* * *

Cośmy mówili o historyi, to się stosuje do wszystkich innych nauk i sztuk. Jaki zaś pożytek *praktyczny* oprócz rozwinięcia władz umysłowych można odnieść z rozważania różnych nauk i sztuk, to choć trochę objaśni następująca prawdziwa anegdota, opowiedziana przez znakomitego dziś francuzkiego uczonego [1]).

Pewnego razu matka tego uczonego wybierała się na bal. Zawołano fryzyera, który posiadał świetną reputacyą. Matka nie była jeszcze gotowa; a nasz uczony, wówczas dziecko jeszcze, zaczął z fryzyerem rozmawiać. „Czy pan chodzisz do muzeum?“ zapytał fryzyer chłopca. Ten odpowiedział, że chodzi, ale rzadko. „To szkoda, odrzekł fryzyer, tam można się nauczyć bardzo wiele. Ja np. ciągnął dalej, chodzę tam bardzo często, i oto co odkryłem: znalazłem tylko dwóch malarzy, którzy umieją czesać damy, najprzód Rafaela, któremu ja zawdzięczam najpiękniejsze moje fryzury; a powtóre Guérina. Wszyscy inni nie znają się na tem wcale.“ Co malec pomyślał sobie na tę odpowiedź, nie wiemy; to jednak pewna, że ów człowiek znalazł źródło nie uczuwanych przez kogo innego przyjemności i jako skromny robotnik starał się o udoskonalenie w swoim fachu, rozwijając jednocześnie swoje zdolności umysłowe, wpatrywaniem się w piękne obrazy.

Takie poboczne korzyści, jak ten fryzyer w malarstwie, każdy człowiek może znaleść w innej sztuce, nauce i przemyśle: tylko po-

[1]) Laboulaye.

trzeba umieć korzyści tej się doszukać; potrzeba umieć patrzeć, słuchać, wyobrażać sobie, porównywać i dochodzić przyczyny wszystkiego.

Ażeby sobie ułatwić pracę wyobrażania przedmiotów i zjawisk, mamy plany, mapy, illustracye, jednem słowem zmniejszone obrazki tych przedmiotów i zjawisk. Chcąc z nich korzystać, potrzeba naturalnie znać się na nich. Dla rzemieślników powinno to być daleko łatwiej, aniżeli dla wielu innych ludzi, gdyż mają bardzo często do czynienia z rysunkami. Zrozumiawszy dobrze rysunek, możemy sobie zastąpić nim do pewnego stopnia rzeczywistość. Niekiedy jednakże sam rysunek nie wystarcza i mianowicie w rzeczach fachu potrzeba sobie robić modele, ażeby wiedzieć, jaki jest stosunek części do całości, i co potrzeba poprawić, a co zostawić, ażeby np. maszyna, narzędzie jakie dobrze czynność swoję spełniać mogły. W książkach specyalnych muszą być konieczne rysunki, i otóż chcąc na prawdę z tych rysunków skorzystać, to jest zastosować je do udoskonalenia swego fachu, potrzeba samemu robić podług nich modele, bo tylko wtenczas czytanie stanie się rzeczywiście pożyteczne. Kto tylko okiem książkę przebiega, a myślą wcale w kierunku przez nią wskazanym nie pracuje; ten lepiej zrobi, gdy książkę zamknie, bo tylko czas zmarnuje i oczy sforsuje. Kto chce skorzystać z cudzej rady, ten musi ją wypróbować, to znaczy, zobaczyć, czy się ona da urzeczywistnić, czy nie da. Wszakże to co czytamy, niczem innem nie jest, jak radą; postąpmyż z nią jak z każdą inną. My dlatego zazwyczaj tak nie postępujemy, że przywykliśmy uważać książkę za coś zupełnie niemającego związku z naszem życiem codziennem, z naszemi zabawami, rozmowami i gawędami. Gdybyśmy pozbyli się tego uprzedzenia (bo to jest uprzedzenie), tobyśmy sto razy większą korzyść z książek odnosili.

Tyle o wyobrażaniu sobie przedmiotów i zjawisk. Teraz pomówmy o dochodzeniu przyczyny. W tym względzie tylko wiek, doświadczenie i ciągłe przyzwyczajenie do zadawania pytania: *dlaczego* może przynieść pożądane owoce. Co się tyczy czytania, to główną tu regułą być winno: zaczynać od rzeczy najłatwiejszych, najdostępniejszych do zrozumienia i bardzo powoli, stopniowo przechodzić do rzeczy trudniejszych. W rzeczach łatwych, odpowiedź na pytanie: *dlaczego* również łatwa będzie, a to tembardziej, że autor książki sam się stara podać nam przyczyny i źródło tego, co opowiada. Długo się więc zatrzymać potrzeba nad rzeczami niby łatwemi, gdyż one stanowią rdzeń wszystkich innych rzeczy; potrzeba też najliczniejsze wtedy odbywać ćwiczenia umysłowe, ażeby się tym sposobem dobrze do rzeczy trudniejszych przygotować i pracę sobie na przyszłość ułatwić.

Przy tej sposobności muszę jednak ostrzedz że najuczeńsi nawet ludzie nie potrafili jeszcze dotychczas odpowiedzieć na wszystkie pytania: *dlaczego?* to znaczy nie potrafili wynaleść, odszukać przyczyny mnóstwa zjawisk w przyrodzie i w historyi. Nie należy się więc zrażać niepowodzeniem, jakie nas spotkać może i z pewnością spotka, przy szukaniu przyczyny. Nie o to też mi tutaj chodziło, ażeby czytający książkę wszystkie przyczyny wszechrzeczy znał na palcach; ale o to, ażeby wszystko brał na rozum, ażeby umysł swój przyzwyczaił do badania i do rozumienia rzeczy. Jeżeli nie znajdzie przyczyny jakiegoś zjawiska, to trudno; praca jego przecież nie zostanie stracona, bo rozum jego wyćwiczy się, nabierając coraz więcej jasności i dokładności. Powoli rozwinięcie tych zdolności przyniesie i korzyść namacalną: pozwoli nam bowiem coraz częściej odkrywać istotne, prawdziwe związki pomiędzy rzeczami i zjawiskami.

Jeżeli tedy przed oczyma naszej duszy staną wyraźnie wszystkie wyobrażenia, o których jest mowa w czytanej przez nas książce; jeżeli dobrze zrozumiemy związki pomiędzy wszystkiemi temi wyobrażeniami; jeżeli choć w części potrafimy poznać i pojąć przyczyny zjawisk opowiadanych: to czytanie takie przyniesie nam rzeczywistą korzyść: zrozumiemy i zapamiętamy wybornie wszystko cośmy czytali.

Ażeby się o tem samemu przekonać, potrzeba zrobić jeszcze jedno doświadczenie; potrzeba w krótkich słowach opowiedzieć, albo, co jeszcze lepiej, opisać to, o czemeśmy czytali; potrzeba słowem streścić, treściwie sobie uprzytomnić wszystkie dopiero co nabyte wiadomości. Nie jestto rzecz tak trudna, jakby się komu zdawać mogło. Jeżeli się rzecz dobrze rozumie, to ją można i opowiedzieć i opisać. I tu oczywiście wprawa potrzebna, do takiej też wprawy zachęcam czytających. Nic z łatwością t. j. bez trudu jakiegokolwiek na tej ziemi nie przychodzi; ale jeżeli chcecie, ażeby wiadomości nabyte przez czytanie zostały nazawsze w pamięci waszej; jeżeli chcecie, ażeby umysł wasz wzbogacił się naprawdę, to musicie zrobić to doświadczenie.

Chcąc objaśnić na przykładzie, jak podobne streszczenie dokonane być powinno, podam tu najważniejsze punkta z niniejszego artykułu. Czytelnicy zrozumieją, że streszczenie samo nie jestto rzecz wymagająca zbyt wielkiego zachodu i zbyt wielkiej pracy. Podaję tu treść tylko naj ogólniejszą; oczywiście mogłaby być ona bardziej szczegółowa i bardziej rozwinięta stosownie do woli i zamiaru tego, któryby artykuł streszczał.

A zatem streszczenie to mniej więcej tak może wyglądać:

Po ogólnym wstępie o dobrem czytaniu, przedstawiono dwa główne wymagania: dokładne zrozumienie i spamiętanie czytanej treści. Następnie zwrócono naprzód uwagę na ważność głośnego czytania; a następnie wyliczono szczegółowe warunki, ażeby można było zrozumieć i spamiętać to, co się czyta. Wymagań tych było trzy: 1° Uwaga. 2° Wyobrażanie sobie przedmiotów i zjawisk o których czytamy; przytem powiedziano, że do takiego wyobrażania sobie potrzeba albo widzieć te przedmioty i zjawiska w rzeczywistości, albo na obrazku, albo też przychodzić do wyobrażenia ich sobie przez porównanie z przedmiotami znanemi. Jako wynik dokładnego wyobrażania i pojmowania przedmiotów i zjawisk przedstawiono znajdowanie ich przyczyn i związków pomiędzy niemi. 3° Wreszcie wymaganie streszczenia tego, co się czyta.

Oto jest króciutkie zobrazowanie uwag powyższych; pominięto w nim wykazanie dobrych skutków, jakie z przedstawionego sposobu czytania wynikają; pominąłem je dla tego, żeby niezbyt przedłużać tę część mojej pracy, a powtóre dla tego że owo wykazanie skutków powinno pozostać najgłębiej w umysł czytelników wpojone. Gdyby atoli czytelnicy moi poszli za moją radą i robili streszczenia wszystkiego tego co czytają, nie powinni zaniedbywać wykazania tych i podobnych okoliczności, które ja w streszczeniu swojem naumyślnie pominąłem. Ale gdyby nawet z początku wszystkie streszczenia były tego rodzaju, jak powyżej podane, nicby to nie szkodziło; nie należy bowiem odrazu wielu rzeczy od siebie wymagać; dość jeżeli z pierwszej przeczytanej książki pozostanie suchy tylko szkielet w streszczeniu; szkielet ten będzie bardzo pouczający, obznajmi bowiem czytelnika ze składem najogólniejszym książki, z porządkiem, w jakim przedstawione są tam myśli; uwydatni części i pozwoli obejrzeć jednym rzutem oka całość przedmiotu. Takie objęcie całości jest rzeczą niezmiernie ważną i pożyteczną.

W końcu muszę tu wspomnieć jednę starą ale niemniej prawdziwą przestrogę, żeby „czytać niewiele ale czytać dobrze i po kilka razy toż samo“ (Non multa, sed multum). Reguła ta stosuje się przedewszystkiem do dzieł historycznych, przyrodniczych i fachowych; chociaż i dobre powieści a poemata warte są kilkakrotnego odczytania. Ażeby prawidło to należycie zrozumieć, trzeba pamiętać, że nie ten jest mądry i uczony, kto sto książek na kwartał odczytuje, ale ten kto chociażby jednę tylko książkę na kwartał z uwagą, pilnie, z dochodzeniem związku pomiędzy myślami, z wyobrażaniem sobie dokładnem przedmiotów i zjawisk, które napotyka opisane w tej książce, czyta, zastanawia się i sobie na własność przyswaja. Takie więc tylko czytanie jest pożyteczne i może się nazywać prawdziwem czytaniem. Może ktoś dziesięć romansideł czytać na tydzień a pomimo to być ograniczonym jak pień, bo czyta tylko, aby czytać: bez wyboru, bez zastanowienia, bez należytego zrozumienia rzeczy. Od takiego czytelnictwa broń nas Boże!

Gdyby każdy z nas czytał tylko jednę książkę na miesiąc; ale gdyby czytał ją tak, jakeśmy tutaj wskazali: tobyśmy wkrótce mieli wielką liczbę ludzi światłych i gruntownie wykształconych. Naumyślnie mówię gruntownie wykształconych. Gruntowność bowiem naszej wiedzy nie na tem się wcale zasadza, żebyśmy dużo wiadomości posiadali, ale na tem, żebyśmy to, co wiemy, chociażby to było niewiele, wiedzieli dokładnie t. j. żebyśmy sobie jasno wyobrażali przedmioty i zjawiska jakie widzimy, i żebyśmy umieli wskazać przyczyny, dla czego te zjawiska są takie a nie inne. Na takiem poznaniu rzeczy zasadza się prawdziwa gruntowność, która jest straszną nieprzyjaciołką wiele umiejącej powierzchowności i płytkości.

Czytajmy więc niewiele, ale czytajmy dobrze.

Czytajmy sami i starajmy się wpoić w dzieci i młodzież to przekonanie, że dobre czytanie dobrych książek wiedzie do oświaty prawdziwej; a oświata prawdziwa poprowadzi nas choć w części do zdobycia dobrobytu, jako też nauczy nas używania tego dobrobytu, dla pożytku naszego własnego i całego społeczeństwa [1]).

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Zürich, 22 grudnia, 1875.

Nie pisałem ani z Krakowa ani z Wiednia, bo chociaż w Krakowie bawiłem dni kilka i miałbym co o nim powiedzieć, pamiętając że macie tam stałego korespondenta, dałem sobie pokój. Nie mogę przecież pominąć faktu z jakim się tu spotkałem, bo chociaż u nas rzecz to dość zwykła, zawsze mię do głębi poruszyła. Zaznajomiłem się otóż w starej siedzibie Piastów, z pewnym młodym artystą rzeźbiarzem, panem W... i korzystając z jego uprzejmości parę razy zwiedziłem jego pracownię. O ile mogę liczyć na mój gust, moję znajomość sztuki rzeźbiarskiej, powiem że prace te zasługują na uwagę znawców i poparcie; pomimo to jednak i wielką pracowitość p. W....., ledwo zarabia on na bardzo nędzne utrzymanie. Popytu na prace artystyczne krajowe, nie ma u nas żadnego, co dowodzi żeśmy w dziedzinie sztuki (żeby to zresztą tylko!) jeszcze się nie potrafili otrząsnąć z mniemania, iż to tylko dobre co z zagranicy pochodzi.

W Wiedniu bawiłem tylko tyle ile potrzeba było, żeby się doczekać odejścia najdogodniejszego pociągu kolei żelaznej i zaraz ru-

RYSUNKI CHARAKTERYSTYCZNE.

Młodość. — Dojrzałość. — Starość.

W MIEŚCIE.







NA WSI.







---

[1]) Kto chce zasięgnąć wskazówek pod względem czytania książek ściśle naukowych, temu polecamy książkę Szaniawskiego p. n. „Rady przyjacielskie młodemu czcicielowi nauk i filozofii," a mianowicie ustęp od str. 129 — 192.

szyłem w dalszą drogę, bo Wiedeń już przed parą laty zwiedzałem. Po dwunastogodzinnej podróży przybyłem do Salzburga, gdziem sobie pozwolił jednodziennego wypoczynku, który mi zarazem miał służyć dla zwiedzenia miasta. W kilku też słowach nadmienię o tem pogranicznem miasteczku austryackiem, chociażby dla tego że niewiele jest znanem z opisów. Pragnąłem przedewszystkiem zwiedzić teatr salzburski, ale żem przyjechał o 7-ej wieczór, było już zapóźno. Poczciwi niemczyska, nie lubią utrudzać się dla zabawy, więc teatr rozpoczyna się o 6-tej wieczór, tak że o 9-tej każdy może być w domu, aby ledz o 10-tej pod klasyczną niemiecką pierzynę. Tylko w ciągu paru miesięcy letnich zwykły spokojny tryb życia Salburczyków mącą przybywający turyści, przyciągani tam głównie cudnie pięknemi okolicami; bo choć Salzburg ma zakład kąpielowy, mało kto z niego korzysta, przenosząc Reichenhall, czy też Hallein jak go tam nazywają, dla skuteczniejszych jakoby źródeł, zwłaszcza że to tylko parę godzin drogi różnicy. Że przemysł tu nie istnieje prawie, że handel niezbyt jest rozwinięty, obywatele Salzburga starają się o to, aby przyjeżdżający cudzoziemcy dali im zarobić na utrzymanie. To też w każdej gospodzie, a także w wielu domach prywatnych znajdzie się kilka pokoi bardzo porządnie utrzymanych, jakie latem wynajmują turystom. Nie wiedząc o tem mocnom był zdziwiony, że w bardzo skromnej gospodzie, do jakiej udałem się na nocleg, znalazłem apartament tak świetnie wyporządzony, żeby się go nie powstydził żaden z pierwszych hoteli jakiego wielkiego miasta, a że się wszyscy cudzoziemscy goście dawno porozjeżdżali w strony cieplejsze, więcem miał go za bezcen. Co do miasta nie może ono nazwać się pokaźnem i od pierwszego rzutu oka łatwo można poznać że domy i ulice jego sięgają czasów średniowiecznych, kiedy wąskie ulice, zbyt wysokie domy z wąskiemi oknami, były niezbędną koniecznością każdej mieściny. Chociaż to dzień był targowy, ruch uliczny wydał się mi zbyt nieznacznym, jak na miasto liczące przeszło 24,000 mieszkańców. To się da wytłómaczyć przyrodzoną niemcom cnotą domatorstwa (jak mówią na Litwie), która wyłącza wszelkie przechadzki po mieście bez koniecznej potrzeby i zresztą brakiem życia handlowego i przemysłowego. Com jeszcze zauważył na ulicach Salzburga, to znaczną ilość ładnych twarzy kobiecych, wdziękiem przypominających bawarki, których też, jak mi mówiono, jest tu znaczna ilość. Żeby też cokolwiek więcej życia, jakże byłoby dobrze.

Mocno bym się zasmucił, gdyby mi ten mały ustęp policzono na karb usposobień erotycznych, ale doprawdy, nie zagłębiając się ściślej w przyczyny, powiem otwarcie że mi się zawsze jakoś lekko i wesoło robi, gdy widzę przed sobą nieprzymuszenie wesołą i ożywioną młodość; życie zaś niemieckie w ogólności, a bawarczyków i szwajcarów-niemców w szczególności, chyba że nikogo do dobrego humoru nie usposobi, bo mają ciągle miny jakby byli na kazaniu. Ale dosyć o tem i o Salzburgu, ruszam dalej, mianowicie do Monachium, o którem powiem tylko że tam co każde sto kroków spotykałem mężczyzn, przerozmaitych narodowości, z tradycyonalnie długiemi włosami, które mają być niejako zewnętrzną oznaką prawdziwego artyzmu w człowieku, i co krok strasznie szpetne stare niemki i wcale ładne i zgrabne dziewczątka z błogim spokojem niemieckim, rozlanym na ich młodych twarzyczkach.

Spałbym przez całą drogę z Monachium do Zurychu żeby się ochronić od towarzystwa niemców, które już dobrze mi się sprzykrzyło, ale nim dojechaliśmy do Lindau, gdzieśmy powinni byli wsiąść na parostatek, w Büchloe wsiadło do naszego wagonu kilku Włochów, wracających z zarobkowania w Brzesławiu i Berlinie, a że lubię niezmiernie Włochów za ich ruchliwość i niczem nie kompromitującą się blagę, to mi czas aż do Zurychu zeszedł najweselej w ich towarzystwie.

Rano o 9-tej byliśmy w Atenach szwajcarskich i chociażem był trochę zmęczony i niewyspany, jednak zaraz po zainstalowaniu się w hotelu nad Limatem ruszyłem na miasto, żeby się przyjrzeć czy się zmieniło od czasu jakem stąd wyjechał przed dwoma laty i dowiedzieć się o potrzebne adresa. Duch entrepryzy, wysoko rozwinięty w Szwajcaryi nie próżnował pod niebytność moję, to też znalazłem dużo nowości na ulicach: śliczny gmach pocztowy został zwalony, a na jego miejscu jakiś przedsiębierca, obywatel Zurychu, Fürst wybudował ogromny gmach, jakich mało i po wielkich miastach, przeznaczony na umieszczenie w nim pierwszorzędnych sklepów handlowych, jakich też, szczególnie bławatnych, już się w tym, zwanym Centalrhofem, gmachu ulokował.

Nie zadowolił się tem przedsiębierczy umysł p. Fürsta, bo zbudował tu jeszcze inny gmach, również pięknie wykonany, a przeznaczony na biuro poczt; jego też staraniem, łącznie z kilku znaczniejszymi z kapitalistów tutejszych została tu zbudowaną w roku przeszłym kolej żelazna Uetliberg, która za umiarkowaną cenę, bo za 3 franki, wozi amatorów na szczyt góry Uetli (wysokość około 2,000 stóp) i napowrót; na tejże górze Uetli został przez pana Fürsta zbudowany zakład kąpielowy, dokąd mają wkrótce (jak głosi fama) sprowadzić wodę aż od Lucerny, co stanowi od 3—4 mil przestrzeni. Liczą na to że zakład kąpielowy na górze, sławnej ze swych widoków, w pobliżu Zurychu, zwabi znaczną ilość cudzoziemców, co da nielada zarobek mieszkańcom.

Takie i wiele innych zmian jeszcze znalazłem tu, ale ponieważ nie myślę opisywać szczegółowo ani Zurychu, ani okolic jego, obecnie śniegiem zasypanych (to się znajdzie w pierwszem lepszem wydaniu Baedekera), więc dam temu pokój, a zagabnę Zurych ze strony wewnętrznego jego życia, którego wybitniejsze cechy wypowiedzą się w handlu, przemyśle i naukowej oświacie, nie mówiąc o charakterystycznem życiu obywatelskiem i towarzyskiem.

Brak roli wdzięcznej dla uprawy, w skutek gruntów skalistych i stosunkowo wielka ludność (2,650,000 na 41,400 kilom. kwadr.), zmusiły Szwajcarów wziąć się do przemysłu, a ponieważ takowy przez współczesny jego charakter wymaga skupienia sił roboczych znacznej ilości w jednem miejscu, przeto ludność szwajcarska zebrała się w miasta i miasteczka; niewielka tylko część zamieszkuje wsie i byt tych ostatnich jest nad wszelki wyraz nędzny. Opierając się tedy na założeniu, że życie Szwajcarów jest głównie życiem miastowem i miasteczkowem, mogę utrzymywać iż opis jednego z tych miast ze strony ruchu handlowego, przemysłowego i naukowego może dać mniej więcej dokładne pojęcie o całości, cobym też chciał wziąć za cel moich listów; zaś Zurych jest do tego najstosowniejszym, bo przemysł fabryczny stoi tu niezgorzej, przemysł i napływ cudzoziemców rozwinęły tu znaczny handel; warunki zaś historyczne i ulokowanie politechniki związkowej i uniwersytetu, wywołały znaczny ruch naukowy, jaki zjednał dla Zurychu sławę Aten szwajcarskich. Te więc objawy życia Zurychczan również jak i dotyczące ich dane z ustroju ekonomicznego, politycznego i społeczno-towarzyskiego będą, jak się tego spodziewam, przedmiotem następnych listów moich. *K. Rola.*

ROK W KRAKOWIE.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

(1874 i 1875).

F. M. Eysymonta.

Przyjazd.

Edmund Wasilewski, poeta krakowski. — Wrażenia podróży. — Podole. — Wołoczyska. — Lwów. — Przejazd przez Galicyę. — Tablica Augusta II w puszczy Niepołomskiej. — Znajomości w wagonie. — Pan malarz z profesyi. — Gawęda p. malarza o panach, mnichach i ludzie w Galicyi. — Stacya Bochnia. — Widać Maryacką wieżę, Wawel i Mogiły. — To Kraków.

„Cicho i cicho!
Spodem ruiny;
Wyrosły sosny, świerki, jedliny,
A w lochu hałasi licho.“

I ty, lutnisto krakowski, ty, natchniony pieśniarzu, rzewny i wzniosły, cichy i wrzący, śpisz już cicho nie od dzisiaj w głębinie ziemi krakowskiego cmentarza! Czternastego listopada dwadzieścia dziewięć lat się skończyło snu twojego, który wiecznym nazywają ludzie, aniesłusznie, bo dzień sądu, bo trąba archanioła zbudzi cię, spruchniałe kości zespoli, rozwianymi prochami osłoni je, aż wstaniesz takim, jakim byłeś, wstaniesz; lecz czy wszystko umarłe wstać tak może? Zaiste, jednostka duchem bożym natchniona wyższa nad dzieło człowieka, zbiorowe ciało jednostek wielu: umarł stary Kraków, stolica dawna Piastów i Jagiellonów.

Nad tobą, poeto, w r. 1860 wzniesiono nagrobek skromny: kolumnę, a na niej urnę śród bluszczów i myrtów, i lirę na urnie opartą; nad tobą, poeto, położono marmur zimny, lecz zlany łzami ciepłemi ludzi, co napis wyryć kazali: „Edmundowi Wasilewskiemu, ziomkowie,“ uszanowano cześć twoję, pamięć twoję; a ten stary gród, od czasu gdy polityczny puls życia odjęła mu Warszawa, kiedy mu siedzibę królów odjęto, gasł i marniał i zamierał powoli; zamiast zaś wznoszenia mu pomników, jego grobowiska i pomniki, jego

skarbnicę pamiątek niszczono i mieczem i ogniem i ręką świętokradczą najezdnika szweda i słowianożercy niemca, który raz wytępiwszy lub przeniemczywszy Połabów, od wieków wszystko słowiańskie niszczył i krew życia słowiańskiego, wiejąc zdradliwym chłodem skrzydeł błoniastych, wypijał aż do zamarcia ofiary, jak nietoperz-wampir z ciała sennego baranka.

Doprawdy, mając zamiar pisać wspomnienia z Krakowa, słusznie zacząć je od słów kilku, poświęconych pamięci jego pieśniarza poety, bo pieśń to serce, dusza nasza! Pieśni zaś Edmunda śpiewane w Krakowie, niekiedy o głodzie i chłodzie, zwyczajnie jak niejednego naszego poety.... tak zlały się z Krakowem, że stanowią z nim mistyczną jakąś jedność, na każdym tam kroku rojem cisną się do piersi, na usta:

„Starcze! pamiętasz twego życia ranek,
Jasny, różowy, bez wiatru i chmurek,
Gdyś na zielony wybiegał pagórek
I z wonnych kwiatów matce splatał wianek?"

Starcze, Krakowie, pamiętasz?

Z pewną tęsknotą w piersi, pełen marzeń i rojeń upajających, przejechałem w lipcu, 1874 roku, bujną Ukrainę, roskoszne Podole, których stepy i pagórki, lasy i gaje malownicze, przypominały mi co chwila moje Owruckie Polesie, może dla tego, żem jeszcze wciąż myślał o niem. Kijów, Berdyczów, Winnica dawno już minione, pociąg jęczy i leci, para miesza się z obłoki, z mgłą siną dalekich lasów; zda się pędzimy w obłokach.

Już w austryackim pociągu dojeżdża się do pierwszej po za kordonem stacyi, na której wielkiemi literami świeci jej nazwa: *Podwołoczyska.* Cali w czerni żandarmi z długiemi czarnemi piórami koguciemi przy kapeluszach, pilnują porządku u wejścia. Grzeczność wszędzie najprzykładniejsza. Wizujemy nasze pasporty, mieniamy ruble i kopiejki na guldeny i grajcary, czyli złote reńskie i centy (1 rubel = 1 złr. 50 — 55 cen.) i dalej.

Nie okolica, lecz jej wioski i miasteczka i łany zbożem falujące nagle zmieniają swą postać. Wszędzie widno umiejętne gospodarstwo wiejskie, ład, zamożność, dobrobyt prawdziwy. Chatki kmieci czyste, białe, schludne, porządne; dworki szlacheckie nie świecą pustkami i ruderą; pałace nie na pół zniszczone, często bogate, piękne prawdziwe. Przejeżdżamy wzdłuż Galicyę. O wschodzie słońca zarysowuje się przed nami Lwów z swą górą Zamkową, wieżycami katedry i cerkwi unickiej św. Jura, jednakże pejsatego roju pokolenia Judy, którym przepełnion, zdala nie widać.... Z nad krańców horyzontu tam i owdzie pokazują się stare odwieczne zamczyska, dobrze w historyi znane, dziś kolumny przeszłości, gruzów zwaliska, ruiny... Przejeżdżamy przez Tarnów, Przemyśl, powierzchownie piękne grody, a wewnątrz pełne żydów i śmiecisk. Za Rzeszowem cerkiewki unickiej już nigdzie się nie widzi, a za Tarnowem piękne okolice świetnieją górami: to bliższe szczyty Karpatów, sinemi mgłami owiane, cudne. W ogóle prawa strona przedstawia największej urozmaiconą panoramę widoków, gdy lewa tylko płaszczyzny, niekiedy czarne i nudne. Dalej, dalej, już zawiślańskie ciemnieją lasy. Tuż zaczynają się puszcze Niepołomskie, w których niedawno jeszcze istniał, bo dopiero, jak mówią, w tym roku został zniszczonym stary dąb o zawieszonej na nim żelaznej tablicy, poświadczającej w napisie, że pod nim w czasie łowów, 24 września 1730 roku król August II trzy noce przepędził, zabiwszy trzy łosie, 17 jeleni, 88 sarn, 33 dziki, 13 wilków, 2 rysie, 32 lisy i mnóstwo drobnego zwierza; gdy dziś, niestety, chyba zając płochy, lub liszka hypokrytka przez te puszcze przebiegnie. *Sic transit gloria mundi.*

Oj, *transit, transit,* nie ma co mówić. Miałem za towarzyszy podróży pewną obywatelkę z Ukrainy, która wraz z córką jechała do wód, polaka kapitana wojsk austryackich z r. 1846 i prostego mieszczanina, malarza z profesyi. Gdy zaś ów pierwszy stopień do piekła i do mądrości, ciekawość kobieca samej pani wywoływała z ust jej ciągłe zapytania, tyczące się kraju, przez który wzdłuż przejeżdżaliśmy, będąc zajęty miłą rozmową z młodą panienką, jej córką, słyszałem pomimo woli odpowiedzi nie bez pewnego sprytu dawane przez pana malarza z profesyi, co wciąż zyzem i z podełba spoglądał na kapitana wojsk z r. 1846.

— U nas, prawił, *panowie* kabzy nabijają, po za granicach się tłuką.... hulają; *mnichy* brzuchy swe pasą, jak fircyki, na umizgi skorzy.... a *lud,* Boże pożal się, w nędzy ginie.... Bo to u nas co wolność, to wolność: żebrakowi nawet wolno mieć ile chce złota, tylko że go i bogacz nie ma.... A oświata?! ho, ho! takiej nigdzie nie dopatrzysz; już, Bogu chwała, odkryto szkoły i dla złodziejów.... sądy kryminalne....

Przedtem już dojeżdżając do Lwowa, słyszałem opowiedzianą mi przez b. dzierżawcę dóbr Kornela Ujejskiego, o pewnej kryminalnej sprawie, musiałem więc uznać za słuszny nadany tym sądom epitet pana malarza z profesyi. W tej chwili lokomotywa zagwizdała, pęd pociągu zwolniał, aż ustał zupełnie; około wagonów przebiegający po platformie konduktor wołał pośpiesznie:

— Stacya Bochnia, stacya Bochnia! Pięć minut!

W tejże niemal chwili u wszystkich drzwiczek wagonów ukazało się mnóstwo obdartej wychudłej dziatwy, z konewkami, koszykami w rękach.

— Wody zimnej, wody zimnej! — Wisień! wołali.

Wypiłem kubek. — Ile się należy? zapytałem.

— Centa, paneczku.

— Oto dzieci narodu.... szeptał stojący za mną pan malarz z profesyi, to dzieci ludu naszego. Wszystko, wszystko w rękach żydów, a dzieci te najwięcej są z okolicznych wiosek, gdzie żydzi już obywatelują. Oj! pany, pany! zaprzepaszczaliście i zaprzepaszczacie dusze swe diabłom! Wyście to winni nędzy i łez, i rozhultajania się tych małych!

Bochnia, Podłężna.... Widać Maryacką wieżę, Wawel stary z za mgły. Dziwy przeszłości coraz silniej przemawiają. W dali Wanda, Krakus i Tadeusz, w dali trzy mogiły, początek i koniec, alfa i omega; bliżej kościołów wieżyce, baszty królewskiego zamku, a pod niemi, tam w głębinie prochy i kości królów, bohaterów wieków minionych: to Kraków. d. c. n.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

XX.

Z POSIEDZEŃ U LEKARZA.

1. Cierpienia Lekarza.

z Prof. i D-ra Bock'a, podał St. W. Łukowski.

Łaskawy czytelnik zechce udać się do gabinetu autora, i będąc tam niewidzialnym, przysłuchać się niektórym z jego porad lekarskich. Lecz wprzódy, zanim rozpocznie się przyjmowanie pacyentów i wynurzanie ich żalów na swe dolegliwości, niech wolno będzie autorowi choć odkasłnąć, t. j. ulżyć swemu doktorskiemu sercu przez wypowiedzenie kilku słów, o niezbyt godnem zazdrości położeniu lekarza wśród społeczeństwa. Ażeby położenie to ocenić zupełnie, należy zwrócić uwagę nie na otoczenie zewnętrzne, lecz na stan duszy lekarza, trudy którego, chociaż czasami opłacają się pod względem materyalnym, ale nie przynoszą mu tego zadowolenia wewnętrznego, na jakie całkiem zasługuje, jeśli stara się być pożytecznym dla bliźnich, nie g'woli własnym, samolubnym wyrachowaniom, lecz z poczucia prawdziwego w sobie powołania do kojenia ludzkich cierpień.

Boleśnie to dotyka wykształconego lekarza, kiedy go poczytują, na równi z ladajakim chciwym zysku szalbierzem, za istotę pozbawioną duszy, nie zdolną podzielać cierpień bliźniego, nieczułą na wszelkie smutki ludzkie, głuchą na skargi chorych. Podobne mniemanie obraża go tembardziej, skoro według swego powołania, obowiązany jest on więcej, aniżeli ktokolwiek inny, do przyjaźni względem cierpiących, do niesienia im pociechy i pomocy. Ażeby zasłużyć na nazwę rzeczywiście dobrego lekarza, nie dość jest posiadać głębokie wiadomości: potrzeba nie mniej odznaczać się dobrem sercem, oraz gotowością niesienia w każdej chwili pociechy i pomocy cierpiącym, bez oczekiwania jakiejbądź za to wdzięczności lub nagrody. Przykro się robi, widząc, że proste *savoir faire* i *vivre,* w połączeniu z wykwintną, modną odzieżą i szykownem obejściem, daje sławę i majątek ladajakiej, niesumiennej, pustej głowie, z doktorskim lub bez takowego stopniem, umiejącej korzystać ze słabostek ludzkich; gdy tymczasem, prawdziwie wykształceni i miłujący ludzkość lekarze, poświęcający się dla dobra bliźnich, żyją prawie w nędzy. O! gdyby wiedziano, co nieraz dzieje się w duszy wykształconego i sumiennego lekarza! Jak często przyprowadza go prawie do rozpaczy brak rozsądku u ludzi! Jak oburza go bezecne szalbierstwo, rozpowszechniające się wbrew zdrowym pojęciom, oraz łatwowierność osób, w istocie bardzo oświeconych. A cóż musi on doznawać, kiedy obwiniają go o śmierć pacyenta dotkniętego chorobą nie-

uleczalną, zwłaszcza jeśli wezwany w ostatniej dopiero godzinie inny lekarz, wypowie taki np. frazes: „gdyby mnie wcześniej przywołano, gdyby użyty był ten lub ów środek...“ i t. p. Nie jest mu przyjemniej i wówczas, kiedy pacyenci lub ich domownicy, z chwilą usunięcia niebezpieczeństwa i zbliżania się okresu wyzdrowienia, udają się cichaczem po radę do lekarzy niższego rzędu, i potem im mianowicie przypisują wyleczenie. A jak często stawia lekarza w kłopotliwem położeniu, konieczność przyznania się przed chorym, iż nie jest w stanie odgadnąć przyczyny jego cierpień. A jeszcze częściej, jakąż mu sprawia boleść, widok znanej dobrze choroby, z każdym dniem coraz bardziej rozwijającej się, na zgubę drogich dlań niekiedy osób, przeciwko której jednak daremne są wszelkie z jego strony usiłowania. Kiedy zaś w jakiej ciężkiej chorobie zanosi się na wyzdrowienie, to taki lekarz będzie tylko podziwiać lecznicze siły przyrody, działające wewnątrz naszego ciała, nie zacznie chełpić się ze swej wiedzy i przedstawiać się za anioła, zbawcę i t. p., jak to zwykle czynią szalbierze, a szczególniej homeopaci. Przeciwnie, nie rzadko wpada on w rozpacz, widząc że sprawy warunkujące pospolicie wyzdrowienie chorego ciała, sprowadzają z powodu jakichbądź nieszczęśliwych okoliczności, smutne następstwa, których nie jest w stanie odwrócić. Jak cierpi lekarz, skoro dowie się, że niekiedy, z przyczyny niedbalstwa lub ciemnoty domowników, ukochane dzieci popadają w niebezpieczne choroby, kaleczą się albo też umierają. Jak długo rozlega się w jego duszy płacz biednej rodziny, której śmierć zabiera jedynego żywiciela, czasami w skutek zbyt spóźnionej pomocy lekarskiej! A czyż miło lekarzowi słuchać przez całe godziny, wiecznie jednych i tychże samych, najczęściej bezzasadnych skarg na urojone cierpienia histerycznych kobiet oraz hypochondryków? Po dłuższej praktyce, nabiera on pogardy do ludzi, mając sposobność przekonania się niejednokrotnie o zupełnym braku w nich uczuć szlachetnych, i to nie tylko na polu bitwy, w zakładach poprawczych, domach obłąkanych i szpitalach, lecz nie mniej: przy kolebce chorego dziecięcia wyrodnej matki, u łoża konającego bogacza, otoczonego radującemi się spadkobiercami, przy samotnym tapczanie opuszczonych chorych sług i t. d. A w jak trudnem położeniu stawia lekarza konieczność zmuszająca go do wglądania w najgłębsze tajemnice rodzinne oraz sprawy sercowe, do okazywania nie tylko zwykłej pomocy lekarskiej, lecz i przyjacielskiej, wymagającej poparcia słowem i czynem. Gdyby od czasu do czasu nie orzeźwiało go i nie zachęcało szczęśliwe wyzdrowienie niektórych chorych, wtedy bez wątpienia, umierałby jeszcze wcześniej niż zwykle [1]). Co się zaś tyczy pretensyj bez końca ze strony pacyentów oraz niewdzięczności wyleczonych, o tem lepiej już zamilczmy.

Porę, w której lekarze udzielają swej rady, możnaby słusznie nazwać *godzinami rozmowy*, gdyż język pacyentów i lekarzy jest wówczas prawie w ciągłym ruchu. Wypowiedziawszy stereotypowe: „muszę zacząć od samego początku,“ chory rozwleka swe żałosne opowiadanie do nieskończoności, sięga ledwo nie do Adama i Ewy, wylicza wszystkie choroby swych przodków i dopiero potem przechodzi do historyi swego własnego życia oraz cierpień, rozumie się, nie bez przytoczenia wszystkich ważniejszych wypadków rodzinnych, podczas gdy powinien był po prostu powiedzieć: „cierpię na zatkanie stolca.“ Rada: „zajmuj się pan gimnastyką,“ byłaby zupełnie wystarczającą dla podobnie chorego, lecz nie chce on na takowej poprzestać, wymagając nadto od nas szczegółowej lekcyi o hemoroidach i dziedziczności tychże, o szkodliwości pigułek Morisson'a i Cauvin'a, o wyższości strzykawki (syręgi) nad środkami przeczyszczającemi i t. d.

U wielu lekarzy, pomienione godziny rozmowy możnaby nazwać *ćwiczeniami piśmiennemi*, nie tylko z powodu mnóstwa recept, które wtedy są przez nich kreślone ze spokojną powagą i szczególną przyjemnością, lecz i ze względu na różne świadectwa oraz raporty o chorobach, jakich żądają od nich osoby chore i zdrowe. Tak np. bezdzietna histeryczna dama, pragnąc jechać do wód, wymaga od lekarza nie znajdującego w jej zdrowiu żadnego zboczenia, drobiazgowego sprawozdania dla swego przyszłego lekarza, o wszystkich swych niezwykłych, szczególnych uczuciach i objawach chorobowych. Lekarz siada przy biurku i pisze cały tom o swej nerwowej pacyentce. Rozumie się, że kolega jego u wód, nie będzie wcale czytać owego sprawozdania, albo też przejrzy je z roztargnieniem; i pod tym względem ma zupełną racyę, gdyż rozsądny lekarz sam powinien zbadać chorego. Zresztą, zastosuje się on o tyle do rzeczonego sprawozdania, że przepisze ze źródła X, jeden kubek wody mniej, a ze źródła Y, pół kubka więcej. Tam znowu jakiś biuralista jeszcze trzyma w jednej ręce tylko co otrzymane świadectwo zdrowia, niezbędne dlań do zajęcia korzystnej posady, a już drugą rękę wyciąga po świadectwo choroby, które uwolni go od wykonania przyjętych obowiązków. Nawet suchotnicy, wiedzący dobrze o tem, że stoją już jedną nogą w grobie, żądają pomimo to, dla zaasekurowania swego życia, świadectwa o kwitnącym stanie zdrowia. Słowem przekonany jestem, że nikomu nie robią tak często obrażającej propozycyi, wydania fałszywego świadectwa, jak lekarzowi.

Nie rzadko, godziny porady u lekarzy zamieniają się na: *lekcye czytania*, zarówno dla samego lekarza, kiedy doń nie przybędzie w owych godzinach żaden pacyent, jak i dla chorych, kiedy oczekując zbyt długo na zobaczenie się z lekarzem, nie wiedzą, czem zabić czas. Niekiedy, chociaż nie zbyt często, lekarz otrzymuje od wyleczonego pacyenta coś w rodzaju wdzięczności do przeczytania; lecz częściej daleko, zdarza mu się przeczytać zawiadomienie, że taki to a taki, szanujący go wysoko pacyent, dziękuje mu za dalsze doktorskie wizyty, gdyż z powodu zbyt długiego oczekiwania na wyzdrowienie, uznał za stosowne wezwać innego lekarza.

Rzeczone godziny porady, możnaby przyrównać także do *lekcyj muzyki*, nie dla tego bynajmniej, iżby słuch lekarza pieszczony był często miłemi dźwiękami szlachetnego kruszczu, lecz właściwie z powodu, że dla należytego rozpoznania choroby w swych pacyentach, lekarz musi ich poddawać fizycznemu badaniu, przy którem, mianowicie przy opukiwaniu i osłuchiwaniu, słuch obok umiejętności użycia odpowiednich narzędzi, niepoślednią odgrywa rolę. W tem miejscu wypada nadmienić, że każdy pacyent, udający się po radę do wykształconego i sumiennego lekarza, powinien naprzód spodziewać się, że nie tylko będzie o wszystko zapytany, lecz że i ciało jego, zwłaszcza część chora, zostanie szczegółowo zbadaną (t. j. obejrzaną, obmacaną, opukaną i osłuchaną). Lekarz który nie czyni tego, i jedynie na mocy otrzymanych od chorego zeznań, wydaje mu receptę lub lekarstwo, nie zasługuje wcale na zaufanie. Zaiste, większej części kobiet z ich gorsetami i krynolinami, bardzo się to podoba, jeśli lekarz nie zbyt się do nich zbliża i nie gniecie im toalety; podobne postępowanie zowie się podług nich „delikatnością,“ a taki lekarz „dobrze wychowanym, szanującym płeć piękną człowiekiem.“ Niestety! Dzięki tej rzekomej delikatności dobrze wychowanego lekarza, oraz źle pojętej wstydliwości owych kobiet, więdną one nierzadko, bez względu na wszelakie kuracye i wody (emskie, maryenbadzkie i francensbadzkie, pyrmontskie i morskie), w skutek takich cierpień, które przy należytem zbadaniu miejscowem, mogłyby zupełnie być wyleczone w kilka tygodni.

[1]) Z pomiędzy lekarzy $^3/_4$ umiera przed dojściem do 50 lat życia, $^{10}/_{11}$ przed dojściem do lat 60.

ZA SZCZĘŚCIEM.

(NOWELLA)

przez

P. Heysego.

Kiedy jeszcze nie było drogi żelaznej wiodącej do Regensburga, pewnego wiosennego wieczoru przyjechał pocztą do starożytnego Reichsstadtu pewien młodzieniec, i kazał swój ciężki, licznemi sznurami przewiązany kufer, zanieść na tragach do hotelu pod „Białym kogutem.“ Miasto z powodu jarmarku przepełnione było gośćmi, to też starszy kelner pod „kogutem“ żałował wielce nowoprzybyłego, który niósł swoje ubranie, prowadząc ludzi i zdawał się być synem poczciwych ludzi, że może mu ofiarować jedynie niepozorny pokoik, który mu jeszcze pozostał. Gość na te ubolewania okazał się obojętnym, oświadczając, że jutro rano odjeżdża. Prosił tylko, aby przez noc naprawiono mu u kufra zamek, który się popsuł. Gdy go w tym względzie najuprzejmiej zapewniono, zajął się natychmiast, gdy kufer do owej izdebki zaniesiono, bezzwłocznem rozpakowaniem się i odwiązaniem sznurów. Podczas tego zmudnego zajęcia, nie opuszczał go wcale wyborny humor, uśmiechał się nawet z przypadku, który go spotkał, nucąc sobie wyjątki z „Zaczarowanego fletu“ i wcale nie zważając na dzie-

wczynę, która mu przyniosła świeżej wody. Zbył ją krótkiem „dobry wieczór“ i nie obejrzał się nawet za nią, gdy powróciła z czystemi prześcieradłami aby mu na noc łóżko przygotować. Ona zaś robiła wszystko tak cicho i bez żadnego hałasu, że mężczyzna zajęty własnemi myślami, łatwo mógł o jej obecności zapomnieć. Lecz teraz, ponieważ dobrze się ściemniło, gdy przyniosła dwie świece, i milcząc zapaliła je przed zwierciadłem, zwrócił się do niej, kiwnął głową na podziękowanie, i zaniechawszy na chwilę swojej roboty, zaczął baczniej przypatrywać się dziewczynie. Nie była ona pierwszej młodości, ani też uderzała niezwykłą pięknością. Lecz jakiś dziwny urok pociągał każdego, kto choć przez chwilę zatrzymał wzrok na jej poważnej twarzy. Stało się toż samo z naszym podróżnym, który rozplątawszy ostatnie wiązadła, gdy stanął z założonemi rękami przed kufrem, patrzył się na nią jak silnemi, pięknie utoczonemi rękami, po łokieć obnażonemi, wyciągała prześcieradła, spulchniała poduszki, lecz wciąż odwrócona od niego, tak iż tylko na jasno oświetlonej ścianie widział odbicie rysów jej twarzy i wysmukłej szyi.

— Tak to — rzekł na wpół głośno, jakby sam do siebie—nie napróżno w czasie drogi mnie ostrzegano, abym nie patrzał zbyt głęboko w oczy kelnerki pod „Białym kogutem.“ Zawsze to pięknie z twej strony, kochane dziecię, że sama o ile możności usuwasz niebezpieczeństwo niewinnym podróżnikom, tyłem się do nich obracając. Co do mnie nie potrzebujesz robić tyle zachodów, jestem zupełnie bezpieczny od ognia.

— To się po próbie okaże — rzekła dziewczyna nie patrząc się na niego. Wszak bądź pan spokojny, bynajmniej nie mam ochoty abyś pan lub jaki inny mężczyzna pokochał się we mnie. A prócz tego nie jestem wcale pańskiem „kochanem dziecкiem.“ Jeśli masz mi pan co powiedzieć, to nazwij mnie po imieniu, Lena.

— Leno, zdajesz mi się dumną dziewczyną, odrzekł w tonie wesołym.

— Dumną? rzekła zdziwiona. A choćbym nią i była, czy możnaby mi mieć to za złe? Ale za prawdę, mężczyźni wolą, kiedy biedna dziewczyna jest próżną, niżeli dumną. Próżność im na rękę, duma powstrzymuje. Tego nie mogą nam darować.

Słuchał tego zdumiony.

— Pani niezawsze pozostawałaś w podobnem dzisiejszemu położeniu — rzekł uprzejmie. Nie mówisz jakbyś wychowana była na służącą.

— Istotnie, że nie—głos jej stał się łagodnym.—Ale po co mamy o tem mówić? Teraz jestem, gdzie jestem. Jak długo to potrwa, to już moja rzecz.

Znów nastąpiło milczenie: gdy ona dalej spokojnie zajmowała się robotą, on ukląkłszy przed kufrem zaczął wyjmować z niego rzeczy. Wszelkiego rodzaju ukazały się stroje kobiece, kosztowne ozdoby w skórzanych futerałach, po większej części przestarzałej formy, karton z pięknemi sztucznemi kwiatami, duża koronkowa chustka, długi przetykany złotem szal turecki. Wszystko to leżało w zupełnym nieporządku, zapewne przez silne wstrząśnienie razem w kufrze się pomieszało. Zaśmiał się gdy wszystkie te skarby nagromadził na krześle i zakłopotał wielce, pomyślawszy, jak przyjdzie jutro to wszystko porządnie ułożyć.

— Mogłabyś mi, panno Leno, prawdziwą zrobić przysługę, rzekł do dziewczyny, która właśnie łóżko już posłała.

Patrz pani, ile tu pięknych rzeczy. Lepiej się poznasz na tem, jak ja, i zechcesz złożyć napowrót ten szal damski.

Teraz dopiero odwróciła się do niego i przelotne rzuciła spojrzenie na niego samego i na dziwny ładunek jego kufra.

— Ależ niegodziwie obszedłeś się pan z tem wszystkiem — rzekła śmiejąc się. Wyłaje cię żona porządnie, gdy przywieziesz jej do domu te kosztowne rzeczy tak potarmoszone.

— Najprzód, dzięki Bogu — odpowiedział wesoło—jestem pewny, że mnie żona nie wyłaje, gdyż jestem nie żonaty, a powtóre nie mogę pojąć, jak żona, gdy jej mąż ukochany z podróży wraca, mogłaby za cokolwiek na niego się gniewać, choćby nawet w pierwszem uniesieniu radości rozdarł jej nową jedwabną suknię, albo pogniótł czepek koronkowy.

— Masz pan słuszność — odrzekła—dobra żona nie wzięłaby tego za złe. Lecz jeśli panie, do których te rzeczy należą....

— One do nikogo nie należą, przerwał jej, i to właśnie jest śmiesznem i poważnem. Jeśli zechcesz mi pani pomódz w tym moim kłopocie, to ofiaruję ci z tego całego kramu jaką piękną chusteczkę, albo te haftowane rękawki... albo cobyś pani powiedziała o tym koronkowym woreczku?

— Sądzę, że łatwo możnaby go zarobić, gdyby mi radość sprawiały podobne rzeczy. Skoro to wszystko do nikogo jeszcze nienależy, to jesteś pan może kupcem i jeździsz z temi próbami dla pozyskania nowych nabywców na swoje towary.

Rozśmiał się głośno.

— Wybornie! — zawołał—a jednak nie zgadłaś pani. Kupcem w samej rzeczy jestem, tylko że prowadzę handel nie takiemi nietrwałemi rzeczami, ale ciężkiemi i surowemi, bo żelazem i stalą. A przecież wszystkie te towary mam za jednaką oddać cenę jakiemu człowiekowi, chciałem powiedzieć kobiecie.

Ona się zamyśliła.

— Nie łam sobie pani głowy—mówił dalej—tajemnica ta nieodgadniona. Ale istotnie, nie widzę przyczyny, dlaczego nie miałbym jej przed panią odkryć. Podróżuję, mówiąc między nami, szukając szczęścia, a ponieważ szczęściem dla mężczyzny zwykła być kobieta, to nie mogłem obronić się przed moją dobrą matką, gdy mi pół kufra wypełniła strojami i koronkowemi ozdobami. Naturalnie poczciwej kobiecie ani na myśl nie przyszło, abym ja podobnemi rzeczami potrafił *prawdziwe* szczęście sobie *przekupić*. Ale gdy mnie ono spotka, to wystroić je w to wszystko, zdaje się jej rzeczą nieuniknioną; innemi słowy, moja matka chce ubrać swoją synowę od stóp do głowy według swojego smaku. Patrz pani, musiałem zastosować się do jej staromodnego gustu, a oto najulubieńsze pantofelki, a o te najbardziejby się troszczyła; oto tuzin cienkich jedwabnych pończoch, i Bóg wie, jakie jeszcze kosztowności.

— Zapewne bardzo kocha pańską narzeczoną — rzekła dziewczyna, układając starannie rzeczy z kufra i usiłując je wyprostować.

— A widać — odrzekł tym samym swobodnym tonem.—A chociaż matka moja jest bardzo rozsądną i bynajmniej wiekiem nieprzygnębiona, to przecież nabiła sobie głowę, że jej syn jest prawdziwą koroną stworzenia, i wszystko, co on przedsięweźmie, wykona zawsze wybornie, mądrze i szczęśliwie. Gdy przed niedawnym czasem powiedziałem jej, że zamierzam odbyć podróż dla wyszukania sobie narzeczonej, zakochała się zaraz w mojej przyszłej, i dzień i noc się kłopotała, jakby ukochanemu dziewczęciu, którego jeszcze żadne oko nie widziało, okazać swoją miłość i wszystkiem dobrem obdarzyć. Nie chciałem rozwiewać jej marzeń. Przez ciąg mego życia z własnego doświadczenia poznałem jej skłonność do ubóstwiania. Ale teraz prawie mi tego żałować przyjdzie, gdyż bardzo być może, iż w wyprawie mojej po szczęście, nie osiągnę upragnionego celu, jakże wtedy będzie przykro zacnej kobiecie, gdy wrócę do domu z pięknym kufrem tak samo pełnym jak przy wyjeździe.

— Nie rozumiem pana — rzekła dziewczyna i spojrzała na niego dużemi oczami. Dla czegoby pańska przyszła nie przystała chętnie być udarowaną od tak dobrej matki?

— Dla bardzo prostej przyczyny, gdyż może ma odrazę do syna tej matki.

— Więc pan nie jesteś pewnym serca swojej narzeczonej?

— Tak, niepewnym — rzekł nagle spoważniawszy—niepewnym do tego stopnia, iż w tej chwili uważam prawie za szaleństwo, aby się moja nadzieja spełniła.

— Silne to widać uczucie, rzekła dziewczyna po cichu do siebie. Życzę więc panu, aby jego wyprawa po szczęście nie była daremną. Bo jeśli go tam nie znajdziesz, nigdzie nie znajdziesz i zbrzydzisz sobie życie.

— Masz pani słuszność — rzekł.—Sądzę, że nie może być jak tylko jedne prawdziwe szczęście dla każdego przeznaczone. Ale gdy go to ominie, czy powinien dla tego znienawidzieć życie? Tego nie wiem. Czyliż więc dla tego właśnie ma się być nieszczęśliwym, że się szczęśliwym nic zostaje? Tak wielu ludzi włóczy się po bożym świecie, sami nie wiedząc dlaczego. Do tych pewno i ja się przyłączę. Sądzę nawet, że obyłbym się bez żony i dzieci... patrz pani, jak to na zimno mężczyźni rozporządzają przyszłością. W istocie, ja sam także spoglądam w przyszłość, że wtedy każdą chwilę mego życia spędzę bez troski, pozbędę się tych tarapatów światowych, skoro posiadając *szczęście* tak trudno się od niego oderwać; widziałem jak mój ojciec umierał, a był szczęśliwym.

Umilkł i zamyślony patrzył w ziemię. Nagle rzekł: — I po cóż nam rozprawiać o tych dziwnych rzeczach! Jakżeśmy do tego przyszli?

— To prawda—przerwała ona—a do tego z dziewczyną.

Podniosła się z kolan. Kufer cały był wypróżniony. Chciała odejść.

— Zostań pani jeszcze — prosił nalegająco. — Nie powinnaś się pani przez dumę czynić cierpką i niesprawiedliwą. Czyliż z pierwszego twego słowa nie uczułem, że cię tylko smutny los tu zapędził? Czyliżbym ja pierwszej lepszej wszystkie te zwierzenia uczynił?

Stała naprzeciwko niego, zapatrzona w przestrzeń, twarz jej zwrócona ku obydwom świecom, między któremi on wsparł się na stoliczku filarowym. Ze współczuciem rozpatrywał te pociągające rysy, w których malowało się znużenie i zbytnie czuwanie, wielka zręczność i zupełna obojętność jak w twarzy jakiej zakonnicy, co zwolna cichą boleść swoją stłumiła, stawszy się podobną do obrazów świętych. Lecz gdy otworzyła usta do przelotnego uśmiechu, wtedy lotem błyskawicy zadrgały namiętną siłą życia wszystkie jej rysy, wtedy tem ponętniej błysnęły białe ząbki, wtedy duże czarne oczy tem ognistszemi się stawały. Nie dziwiło wtedy młodzieńca, że jego towarzysze podróży, weseli synowie Regensburga, ostrzegali przedtem aby nie wpatrywał się głęboko w te oczy.

— Leno! — rzekł—pani mnie nie znasz, i ja nie znam cię także. Ale czytam wypisane na twojem czole, że nie jesteś szczęśliwą. Nie chcę się wdzierać w twoje tajemnice, lecz jeśli dobra wola moja może ci w czem być pomocną....

Wyciągnął do niej rękę. Nie dotknęła jej, stała nieruchoma, i rzekła znękanym obojętnym głosem:

— Dziękuję panu, mnie nikt pomódz nie może.

— Ależ — zawołał — nie powinnaś pani tak mówić. Nie masz temu jeszcze i czterech tygodni jak siedziałem w domu, w moim kantorze i pisałem duże cyfry do księgi, i zaledwie zwracałem uwagę, że one z każdym rokiem stają się większe, i myślałem sobie w duszy: mnie nikt pomódz nie może. A oto dziś jestem w podróży za szczęściem. Odwagi miłe dziewczę, i na ciebie przyjdzie kolej.

Wstrząsnęła głową.

— Byłam już raz tak blizką celu — rzekła — iż rękami schwycić je mogłam. Lecz byłam tak nierozsądną, żem się oddaliła od prostej drogi. Zgubiłam moją ścieżkę, i nikt mi jej wskazać nie może.

Wtem zapukano do drzwi; wszedł kelner i zapytał, czy pan na kolacyę zejdzie do sali. Gość zgodził się na to i oddał mu próżny kufer, aby w nim kazał naprawić zamek.

— Idź pan naprzód — rzekł do kelnera — widząc, że ten ciekawie przy drzwiach się ociąga, spoglądając chytrze na dziewczynę.

— Czy mogę pani prosić — Leno mówił dalej — abyś zechciała zamknąć wszystkie te rzeczy w komodzie; nie mogę zasnąć, gdy widzę wkoło siebie nieporządek.

— Rozkaż pan tylko — mówiła roztargniona.

— Nie, moje dziecię — mówił serdecznie — między przyjaciołmi nic się nie rozkazuje; podajże mi rękę, i pozwól mi, mówić ci ty. Wiesz jak sądzę o tobie.

Ujął jej rękę, przytrzymał w swoich i spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem, tak iż mimowolnie spuściła oczy.

— Dobra dziewczyno — rzekł do niej — ty jesteś chora, znam lekarstwo, które cię uzdrowi.

Poczem dotknął się z lekka jej kruczych włosów, lecz spuścił rękę natychmiast, spostrzegłszy, jak pobladła i zadrżała całem ciałem.

— Do widzenia — rzekł do niej ze współczuciem — i zszedł na dół na salę.

Przy długim stole znalazł wesołe towarzystwo, które przy pełnych dzbanach gwarnie się bawiło; to też pospieszył się z jedzeniem a wypiwszy szklankę wina, zapalił cygaro i wyszedł na ulicę. Tu było cicho i chłodno, najmniejszego nie czuć było wiatru, błyszczące gwiazdy rozjaśniały gród starożytny, w którym gdzieniegdzie tylko stały latarnie. Podróżny puścił się na los szczęścia po najbliższych ulicach, nie mając żadnej myśli, życzenia lub celu. Niekiedy zatrzymał się przy jakiem oświetlonem oknie dolnego mieszkania, gdzie przy okrągłym stole widać było rozjaśnione twarze siedzących, jedzących, rozmawiających i gotujących się do nocnego spoczynku. Oni tam już przybyli, dokąd ja dążę, pomyślał sobie, pozbyli się kłopotów podróży.

Przy bramie pewnego domu, ujrzał młodą parę, jak szeptała i całowała się ukradkiem, rzekł więc do siebie pospieszając dalej: ci także dalej, niż ja, posunęli się w drodze. Ale kto wie, jak wiele z nich jeszcze cofnie się ze swojej drogi zanim przybędzie do celu, jak to stało się z biedną w hotelu dziewczyną.

Zamyślił się teraz o Lenie, rozważał jej słowa i żywo mu się one uprzytomniły. Znajdował się właśnie na moście Dunaju i przysłuchiwał szumowi rzeki odbijającej się o słupy, naraz odezwały się dźwięki dzwonów starożytnej katedry. Dalej leżało przedmieście, gdzieniegdzie połyskujące światłem, za niem ciemne wzgórza na których szczycie wznosił się niewielki kościołek, w dół rzeki, za wyspą, w oddalonym wschodzie widniały wierzchołki bawarskiego lasu. Wsparł się o baryerę i spoglądał na fale podążające wśród ciemnej nocy ku wschodowi słońca i pomyślał, że one przed nim dobiegną do domu, gdzie jego szczęście mieszka.

Jego szczęście? A któż go upewnił, że się nie znajdował na drodze na zawsze odwodzącej od niego? Czułżeby, jak to Lena powiedziała, w samej rzeczy głęboką namiętność, która mu nie da spokoju dopóki na stanowczą nie wejdzie drogę? Co do tego nie miał jasnego pojęcia, gdyż jego życie, które dotąd obciążone było wypełnianiem poważnych obowiązków, nie zatroskało się o to, aby i jego serce także do szkoły posyłać, tak iż dobiegłszy dwudziestego osmego roku, względem kobiet był jeszcze nowicyuszem. Odosobnienie frankońskiej doliny, w której leżały huty i hamernie jego ojca, stanowiąc w sobie mały światek, na milę drogi odległy od najbliższego miejsca, a więcej jeszcze wytężona praca z jaką po wczesnej śmierci ojca, mając zaledwie lat siedmnaście, przystąpił do interesów, aby oszczędzić matce wszelkich kłopotów, sprawiły to, iż jak każdy inny nie poznał świata z doświadczenia, bądź w ważniejszych bądź w drobniejszych rzeczach. Matka, o której w wesołem usposobieniu mówił, z przykrością patrzała, jak mijał jeden rok po drugim, a jej syn ukochany zdawał się ani myśleć przy swojem ciągłem zajęciu o wprowadzeniu młodej żony do samotnego domu. Ile razy była mowa o tej serdecznej sprawie, umiał się zawsze jakim żartem wywinąć, zapewniając matkę z uśmiechem, że ona jest jego pierwszą i ostatnią miłością, a chociaż zacna kobieta z przyjemnością tego słuchała, niemniej jednak się nie uspokoiła. Skłoniła domowego lekarza, iż wyprawiał go w podróż, lecz i ten środek przez kilka lat pozostał bez skutku, aż wreszcie zeszłej jesieni wrócił ze Szwajcaryi wielce zadumany, co bynajmniej nie uszło przenikliwego oka matki. Spotkał się w Rigi z rodziną pewnego wyższej rangi austryackiego oficera, stojącego w Linzu garnizonem, i przez kilka dni towarzyszył jej w podróży. Wszelka piękność, którą razem podziwiano, zawiązała między nieznajomemi swobodną poufałość, i dumna rozpieszczona, małym nawet dworem otoczona córka, raczyła jak najłaskawiej zniżyć się do niego. Niekiedy przemawiała do niego prawdziwie serdecznym głosem, który go do samej głębi przenikał, lecz w kilka chwil później dawała mu uczuć swój zmienny humorek tak samo, jak to czyniła z innemi swojemi wielbicielami. Ponieważ zaś była rzeczywiście prześlicznem stworzeniem, czarowała go więc daleko silniej niż innych; a chociaż przez swoje niedoświadczenie w czasie podróży pominął niejedną przyjazną dla siebie okoliczność i pożegnał się nie mając żadnej nadziei, nie mógł przecież pozbyć się doznanego wrażenia. Pocieszał się jednak tą myślą, że przemijające było to szczęście, do którego z trudnością mógłby rościć prawa. Jakże mógł wymagać od tego rozgrymaszonego dziecka, aby dla niego się zagrzebała w pracowitej samotni, ona, wypieszczona na wszelkiego rodzaju towarzyskich tryumfach? Byłby jednak i ten obraz znikł jak wielce innych, tylko po dłuższym nieco przeciągu czasu, gdyby pewnego dnia jeden z jego przyjaciół, który ową rodzinę poznał w Bazylei i z córką tańczył na jakimś balu, nie doniósł mu z pośpiechem, że wcale o nim nie zapomniano, owszem w wielkich jest łaskach tak u rodziców, jak i córki; że to ciągłe jego milczenie, gdy przyrzekł pisywać, na seryo za złe mu uważano.

List ten niespodziewany wstrząsnął nim i napełnił radością i obawą zarazem tak dalece, iż nie mógł z tego robić tajemnicy przed matką. Zacna kobieta ucieszyła się wielce, ze łzami radości rzuciła się na szyję swojemu ukochanemu synowi, i wtedy-to, nie pytając go już o nic więcej, ani zważając na jego upieranie się, zajęła się upakowaniem owego sławnego kufra i oddała go synowi w podróż, pod zagrożeniem swojego macierzyńskiego gniewu, aby bez żony do domu nie wracał. Nie opierał się też więcej. Lecz tu, na ostatniej stacyi przed swoim celem, gdy stanowcza chwila miała nastąpić, opanowały go znów obawa i niepokój, które tem silniej oddziaływały na niego, że zimny rozum wśród ułudnych obrazów miłości wciąż mu dowodził, że znajduje się wprawdzie na prostej drodze, lecz nie do szczęścia, ale do jakiegoś niesłychanego głupstwa. Cóżby dał za to, żeby mógł

się teraz jakiej wyroczni zapytać, albo otrzymać jaki wyraźny znak swego przeznaczenia. Przez chwilę miał ochotę uważać zamek od kufra, jako pewnego rodzaju symboliczną wskazówkę. Lecz jeśli rzeczywiście będzie mógł jutro znów go użyć? rzekł sam do siebie. Zresztą nic mnie nie nagli, nie potrzebuję zaraz pierwszego dnia w Linzu zdawać się na łaskę i niełaskę. Pierwej się przekonam na własne oczy, chociaż w istocie, jeśli tam będę......

I zagłębił się w myślach. Zobaczyć ją znowu, mówił do siebie, to samo znaczy, co zgubić się bez ratunku. Długo tak stał wsparty o balustradę mostu. I zdawało mu się przytem, jakby jego myśli uchodziły wraz ze szmerem płynącej pod spodem rzeki, i pozostało mu tylko poczucie nieokreślone pogodnej nocy, gwieździstego nieba i cichej tęsknoty w osamotnionem sercu. Dopiero jak usłyszał bijącą jedenastą godzinę, wyrwał się z zadumy, postąpił na środek mostu i jeszcze raz spojrzał na miasto, nad którego dachami wznosiły się potężne münsterskie wieże. Jeszcze raz skierował wzrok ku wschodowi na pogrążoną w cieniu rzeczną dolinę, skinął ręką, jakby na dobranoc, i zwolna zwrócił się ku brzegowi.

Sądził, iż jest pewnym drogi, ale wnet wśród ciasnych zaułków miasta zbłądził, a nie spotkał nikogo, coby mu właściwą drogę wskazał. Nie żałował tego, był rozpłomieniony, serce mu biło silnie, nie można było myśleć o spaniu. Gdy wreszcie stanął na münsterskim placu, przez długi czas wpatrywał się w olbrzymie drzwi tamecznej katedry. I zdało mu się, że się rozwarły podwoje i tysiące wychodziły i wchodziły do kościoła. Wszyscy ci ludzie także szukali na ziemi swojego szczęścia, a wieluż z nich samotnie albo ręka w rękę po tych stopniach stąpało, aby tam pobłogosławiono ich szczęście, które znaleźli, bądź w towarzyszce życia, bądź dziecięciu, bądź też w wiecznym spokoju śmierci. A wieluż z całego tego tłumu mogło się poszczycić, iż swoje pragnienie szczęścia ugasili w czystem źródle? A wieluż z nich śmierć wypiło, sądząc, że połyka życie?

Zimny dreszcz go przejął. Odwrócił się przerażony od tego niemego czarnego świadka tylu złudzeń, i szybko podążył ku domowi. Staruszek, który jako stróż nocny, przechadzał się między targowemi budami, pokazał, którędy miał się udać. W hotelu wszystko zdawało się pogrążone w spoczynku. W sali jadalnej znalazł przy dogorywającej świecy najmłodszego kelnera, który położywszy się na sofie, mocno zasnął. Nie budząc go zapalił sobie nową świecę i sam wszedł na schody, udając się na najwyższe piętro, gdzie jego był pokoik.

Gdy tam wszedł, było widno; Lena zajmowała się upakowaniem kufra.

— Zamek już naprawiony — rzekła, — niedługo panu wszystko tu uporządkuję. Będziesz pan zadowolony; zaraz skończę.

Skłonił jej głową, pogrążony w myślach. Wszystko, czego się ona dotykała, każde poruszenie jej pięknych rąk, każde zgięcie szyi lub ramion odznaczało się szczególniejszą pewnością, siłą i wdziękiem. Teraz wszakże zobaczył, gdy jej się rozwinął jeden z warkoczy i spadł na plecy, że szeroki strumień białych włosów pomieszał się z czarnemi, i gdy nachyliła się nad kufrem i światło od świecy padło na jej czoło, dziwnie zmieniły się jej rysy, uwydatniając młodość i wiek późniejszy, odwagę i rezygnacyę.

Wszystko już przygotowała i podniosła się odetchnąwszy i napowrót zawiązawszy warkocz.

— Późno już — rzekła milczawszy dotąd — trzeba żebyś pan udał się już na spoczynek, a i ja także. Dobranoc.

— Leno — rzekł on — nie odchodź pani jeszcze. Za długom się przechadzał, orzeźwiłem się zupełnie, nie będę mógł zasnąć. Myślałem i o pani.

— O mnie? Czy nie miałeś pan myśleć o czem lepszem?

On milczał czas jakiś przechadzając się po pokoiku.

— Usiądź pani, rzekł nie patrząc na nią i usuwając stół od sofy, aby jej miejsce zrobić. Chętniebym jeszcze z panią pogawędził. Ale możeś pani zmęczona.

— Nie, odrzekła. Ale co panu może zależeć na gawędce ze mną? Jesteś szczęśliwym a przynajmniej na drodze do szczęścia. Lepiej oddaj się pan miłym marzeniom.

— Właśnie też — rzekł — ponieważ spodziewam się znaleść szczęście, przykro mi więc, że nie mogę pomódz wszystkim tym, którzy je utracili. Ależ nawet temu, co już zwątpił o wszystkiem przynieść pomoc można, jeśli tylko pozwoli, aby mu jej udzielono. Jesteś pani jeszcze tak młoda, tak piękna, otrzymałaś tak dobre wychowanie, to któż wie, co cię jeszcze spotkać może. I jeśli mi chcesz prawdziwą radość sprawić, to przyjmij moją pomoc, na jaką mnie stać. Przystajesz pani?

Patrzała w ziemię. d. c. n.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w c z y n i e.

II.

Ciche dotąd życie naszej prowincyi po trochu zaczyna przybierać, coraz to żywszą barwę. Parte nowemi potrzebami, bez zaspokojenia których dłużej nie mogło by się ostać w swem istnieniu, musiało wybrać jedną z dwóch dróg: starą lub nową; pierwsza wiodła do odnawiania, znanych ran i dolegliwości, nowa ma je bezpowrotnie usunąć. Byli tacy, którzy nieskrywali swego jawnego powątpiewania co do mającego nastąpić wyboru, są i tacy, którzy teraz nawet nie wierzą mu; ba! lękają się go i przeciwdziałać mu wszystkiemi siłami usiłują. My nigdyśmy tych zwątpień niepodzielali, ufaliśmy zawsze, że ludzie dobrej woli, sam wreszcie instykt zwierzęcy zdołają nas wepchnąć na owe nowe drogi.

Skrzętnie zawsze notowane przez nas wybitniejsze fakty z naszego życia, niewątpimy wzbudziły podobną wiarę i w czytelnikach.

Dziś ślepy chyba tylko nie widzi że stanowczo już jeżeli nie weszliśmy, to wchodzimy w nową fazę życia. Myśli te nasunęły się nam w chwili otrzymania pierwszego numeru „Korespondenta Płockiego.“ Stary gród Ziemowitów zyskał w tych paru kartkach tak potężnego obecnie papieru jakby patent obywatelstwa w rzędzie miast Europy do których od tak dawna się liczył. Zdania swego o tym niezaprzeczonym fakcie rozbudzonego życia prowincyi nie omieszkamy wypowiedzieć gdy działalność i tendencye nowego pisma uwydatnią się jak należy. Na teraz z całej duszy przesyłamy mazowieckiej braci życzenia wytrwałości w nowej pracy i... licznych prenumeratorów.

* * *

Podobny chociaż już tam nie nowy fakt notujemy z innej strony kraju. Lublin i okolica dające 200 czy też 300 prenumeratorów staremu „Kuryerowi“ uznały widać tę cyfrę dostateczną do utrzymania dwóch organów! i zrodziły nowy swój organ „Gazetę Lubelską“ wychodzącą jak i stary Kuryer, trzy razy na tydzień w większym tylko formacie. Prawda że Kuryer nie zbyt dobrze spełniał swe zadanie. Czy jednak rozstrzelone i współzawodniczące siły spełnią je lepiej? Poczekajmy, przyszłość niedługa okaże. Pierwszy numer Gazety odznacza się wcale dobrze, a drzemka felietonisty tryska zdrowem słowem i barwną treścią.

* * *

W ostatnich dniach ubiegłego roku odbyła się w Radomiu licytacya wystawionych na sprzedaż majątków poduchownych. Pomiędzy licytantami stanęło do kupna dwóch kupców przybyłych umyślnie w tym celu z gubernii Orłowskiej. Utrzymali się oni przy nabyciu pięciu majątków, które widocznie kupowali w celach przemysłowych nie obejrzawszy wprzódy ani ich gleby, ani kultury.

* * *

Szewctwo nasze, którego stały rozwój, zdaje się już zapewniony, zyskuje nową trwałą podstawę dla dalszego bytu. Jeden z młodych rzemieślników zakłada warsztat szewcki, specyalnie dla intelligentniejszej młodzi przeznaczony.

Obchodzenie się z praktykantami ma być koleżeńskie, a praktyka rozpoczyna się nie po kilkuletniej wysłudze majstrowi, majstrowej, majstrównom i czeladzi, lecz z chwilą wstąpienia do warsztatu. W drugim roku uczeń otrzymuje już stosowne wynagrodzenie.

Fakt to ogromnej wagi: wprawdzie można by zarzucić, że w ten sposób następuje rozdział między rzemieślnikami ukształconemi i niemającemi oświaty, ale z drugiej strony, jeżeli zważymy że jedynie owa konieczność kilkuletniej wysługi, dotąd odstręczała w ogóle wszystką intelligentniejszą młodzież od pracy rzemieślniczej, to niepozostaje nam nic jak życzyć projektowi najprędszego urzeczywistnienia. Tylko podobny zakład może uprzystępnić ze wszech miar pożądany udział naszej intelligencyi w zajęciach rzemieślniczych. A dopiero z czasem tylko ta intelligencya może wpłynąć skutecznie na zniesienie barbaryńskiego zwyczaju wysługi.

* * *

W grudniowem zeszycie „Biblioteki War-

szawskiej p. A. Wajnert porusza myśl zasługującą na szczere uznanie. Przypomina on że godziłoby się nam zdobyć na pełniejszy od istniejących życiorys Ł. Górnickiego autora „Dworzanina." P. W. proponuje przy tem aby dochód jaki osiągniętym zostanie z rozprzedaży projektowanego życiorysu dołączyć do sumy przeznaczonej na pomnik dla znakomitego męża.

Nie wątpimy że myśl ta znajdzie poparcie między naszymi literatami a znalazłszy je, być może będzie bodźcem do gruntowniejszego obznajmienia czytającego ogołu ze złotą epoką naszej literatury. Dziwna rzecz! tak dużo o niej mówimy, tak radzi chlubimy się nią przed obcemi narody a tymczasem... uderzmy się szczerze w piersi, nie mamy o niej najmniejszego pojęcia. Nie mówię już tu o tem że tak zwana intelligencya nie czytuje ówczesnych arcydzieł złotej epoki, ale gdyby ktokolwiek chciał najszczerzej cośkolwiek więcej nad stereotypowe ogólniki dowiedzieć się o wartości i znaczeniu utworów któregokolwiek pisarza, z wyjątkiem nie pełnych ocen Tyszyńskiego, nie mamy o tych dziełach ani jednego wyczerpującego swą rzecz studyum! No, ale mamy za to bajki francuskie, dramata angielskie, arcydzieła włoskie?! zawsze przecież coś się robi... Panowie wydawcy! zwróćcie się też i gdzieindziej trochę, a lepiej się przysłużycie potomności.

* * *

Płock nie na żarty zabiera się do czynnego życia. Wyżej donieśliśmy o ukazaniu się tam miejscowego organu, tutaj notujemy drugi również pocieszający objaw życia. Z początkiem postu r. b. odbywać się mają odczyty urządzone przez miejscowe towarzystwo lekarskie.

* * *

Wiadomo wam zapewne z pism codziennych ze we wnętrzu salin bocheńskich ogień od kilku już dni rozpościera straszne zniszczenie, otóż jak zawiadawia „Kuryer Warszawski" dn. 3 b. m. stały się one widownią okropnego wypadku. Wysłany ze Lwowa starszy radca górniczy Windakiewicz wraz z radcą miejscowym Furdzikiem, spuściwszy się z dwoma górnikami na dół w celu przekonania się o stadyum pożaru, znaleźli śmierć nad wyraz okropną. Utraciwszy przytomność prawdopodobnie w skutek zaczadzenia, upadli na szalę na której ich wyciągano, a potem dostawszy się między ściany otworu a szalę zostali zgruchotani i spadli aż na sam dół, skąd martwych i zeszpeconych wydobyto. W Windakiewiczu jako człowieku fachowo wykształconym, wytrawnym znawcy kopalnych skarbów niezmiernie pracowitym i prawym, górnictwo ponosi niepowetowaną stratę. Cześć jego pamięci!

* * *

Zgadnijcie też czytelnicy, woła Kaliszanin, ile w obecnym czasie potrzeba godzin na przejazd kuryerką z Kalisza do Kutna? Ani mniej ani więcej jak tylko *22 godzin!* i to jeszcze jadąc w sześć *a nawet w ośm koni*. Zaiste fakt niepotrzebujący komentarzy.

* * *

Pierwszy tegoroczny numer „Izraelity", który wyszedł w powiększonym formacie, wcale pokaźnie się przedstawia. W artykule wstępnym pan Ad. J. Cohn streszcza sumiennie działalność, jaka się w sferze żydowskiej w ciągu ubiegłego roku objawiła. Są tu zestawione skrzętnie fakty nie małej wagi. Autor okazał się dosyć bezstronnym, wykazując nie tylko dodatnie ale i ujemne zjawiska życia. W ogóle artykuł ten zaleca się do uważnego odczytania. Zasługuje też na uwagę rozpoczęty w tym numerze szkic obyczajowy, żywcem zdjęty ze świata pojęć i zwyczajów zachowawczych żydów naszych na prowincyi, p. t. *Świekra i synowa*. Autor jego pan E. K. zachowuje nawet całą charakterystykę sposobu wyrażania się zachowawczej warstwy społeczeństwa izraelskiego. Nie możemy z pierwszego ustępu sądzić o wartości tego utworu; zdaje się nam atoli, że będzie on brzemienny pożyteczną i bardzo doniosłą tendencyą. W obec tych udatnych płodów prozaicznych dziwnie niemiłym dyssonansem, przemawia poetyczna lira jakiegoś pana Gabryela, którego utwór p. t. „Słowa pociechy" nosi na sobie znamię nędzy wyjątkowej. Dziwi nas szczególniej, skąd p. G. przyszło na myśl pisać i narzekać, że „w gruzach leżą święte Syonu mury, Jehowy w gruzach gród uroczy," i dla czego śmie utrzymywać, jakoby Izrael „*barbarzyńców* śmiechem zmożony, *ziemię obcą* (?) łzy swemi rosił"... Nie mamy nic przeciwko temu, że autor czuje tęsknotę do ziemi obiecanej, lepiejby jednakże zrobił, gdyby ją zachował w swej natchnionej piersi, a nie produkował w wierszu, wołającym o pomstę do wszelkich zasad rymotwórczo-estetycznych.

Pominąwszy jednakże ten jeden grzech redaktorski, musimy przyznać, że „Izraelita" pod dobrą wróżbą zaczyna nowy peryod swego istnienia. Radzilibyśmy mu tylko, ażeby zwracał baczniejszą uwagę na żywotne podnoszenie kwestyj społecznych, na czasie będących.

* * *

Pierwszy tegoroczny numer „Kłosów" odznacza się prawdziwem bogactwem pięknych drzeworytów. Imponuje szczególniej wspaniała reprodukcya obrazu Jana Matejki: *Wciąganie nowo odlanego dzwonu Zygmunta w obec króla i dworu w roku 1520.* Zachwycać się tu można prawdziwem bogactwem treści, tak, że nie wiadomo na czem zatrzymać wzrok dłużej. Na każdem miejscu głęboka myśl i prawda dziejowa są wyryte. Wykonanie drzeworytu bardzo staranne nie szpeci piękności obrazu.

Szkoda, że chwaląc staranność drzeworytów, musimy zaznaczyć zarazem ogromne ubóstwo treści literackiej. Prócz powieści, komedyi i korespondencyj, resztę numeru zapełniają objaśnienia do drzeworytów, których autorstwo stanowi wyłączną prawie produkcyą literacką członków redakcyi. Ale... ale... przepraszamy... jest i *Kronika naukowa*, ale w tak homeopatycznej dozie, że czytelnik może się nie obawiać o zbogacenie swego umysłu zbyt wielkim zasobem wiedzy. Kiedyż przyjdzie ta błoga chwila, kiedy redakcya „Kłosów" zrozumie wreszcie, że prócz beletrystyki i obrazków wartoby też o pożywniejszej pomyśleć strawie?!...

* * *

Biblioteka krakowskiej akademii umiejętności, wzbogaconą została w tych czasach bardzo znacznym darem, składającym się z 10,689 dzieł, 158 rękopismów, 235 mapp, 700 rycin, 60 dyplomatów i stu medali. W liczbie ofiarowanych dzieł znajduje się wiele niezmiernie cennych i rzadkich zabytków bibliograficznych polskich. Zbiór ten ofiarowany został akademii przez p. Karola Walewskiego, który otrzymał go w spadku po bracie swoim Cypryanie.

* * *

Rzadki jak na dzisiejsze czasy purytanizm o nieskazitelności którego bardzo wątpimy. W wiedeńskim sądzie ma być w tych dniach sądzona oryginalna sprawa. Toczy ją jedna z primadonn opery wiedeńskiej przeciwko tenorowi tegoż teatru. Diva zarzuca tenorowi, że „zamiast teatralnego pocałunku w jakimś duecie, złożył na jej twarzy prawdziwy, i tym sposobem dopuścił się obrazy w publicznem miejscu. Rozumie się że przed wydaniem wyroku, wysoki c. k. sąd, zmuszony będzie przeprowadzić ścisłą różnicę między pocałunkiem teatralnym a prawdziwym. Szczególna rzecz że u nas nigdy podobnej sprawy nie było?

* * *

Nie możemy pominąć milczeniem odezwy redakcyi „Gazety Sądowéj", napisanej do czytelników, z powodu rozpoczęcia 4-go roku jej istnienia. „Gazeta Sądowa" na każdym kroku daje ślady swej pożytecznej działalności, która coraz szerzej rozwijając swe granice, przyniosła naszemu społeczeństwu nie jednę zdrową myśl i radę. Skończywszy pracę p. Miklaszewskiego o nowej reformie sądowej, Gazeta daje obecnie w odcinku rzecz nie mniej ważną: „Krótki rys postępowania sądowego cywilnego, podług ustawy z dnia 20 listopada 1864 roku" i „Postanowienia o wprowadzeniu reformy sądowej w Kr. Polskiem z dnia 19 lutego 1875 r.", przez Antoniego Okolskiego. Zaznaczyć również należy gorliwe zajmowanie się sądownictwem gminnem; gdyby to nasza intelligencya raz zdecydowała się na przyjęcie czynniejszego udziału w sprawach gminy, jakież piękne byłoby zadanie gazety, i jak ta starałaby się godnie odpowiedzieć swemu zadaniu, jeżeli teraz bez stosownego poparcia i przy braku wszelkich wskazówek z praktyki gminnego sądownictwa, nie opuszcza tak ważnego działu. Gazeta powinna być w ręku każdego obywatela, mającego pretensyą do oświaty.

* * *

Zwracamy uwagę naszych czytelników ze wsi na artykuł pomieszczony w 1 Nr. „Niwy" z 1876 r. p. t. „W sprawie upadających posiadłości ziemskich." Artykuł ten pióra jednego ze znanych obywateli, jest odpowiedzią na korespondencye p. Sewera z Londynu, przedstawiającego stan naszego rolnictwa w bardzo smutnych barwach. Otóż autor listu wykazuje, że chociaż nie jest dobre, to ostatecznie położenie większych posiadłości nie jest jeszcze rozpaczliwe i ratunek *możebny*. Ratunek ten autor widzi nie w przemyśle, nie w chodowli inwentarza, lecz tylko w podniesieniu plonów. Ciekawe również dane przytacza autor w kwe-

styi parcelacyi; okazuje się że sprawa ta postępuje i tak: w 1872 r. rozdzielono dóbr 62 w 1873, 56; w 1874, 101; w I półroczu 1875 r. 32. Autor nie popiera parcelacyi i uznaje ją jako konieczność chwili która żadnego poparcia nie potrzebuje. Wykazuje najsłabszą jej stronę: wprowadzenie zastoju w gospodarstwach rolnych. Podobnych listów życzyć by należało jak najwięcej.

BIBLIOTECZKA DOMOWĄ.

Obrazki historyczne dla młodzieży, napisał Józef Grajnert (z 8-ma obrazkami) Kraków. Nakładem wydawnictwa „Czytelni Ludowej“ i księgarni A. Nowoleckiego, 1875, 8-ka, str. 159. Cena kop. 67½.

Książeczkę tę gorąco polecamy dorastającej młodzieży naszej. Tego rodzaju prace są wielce pożądane a w piśmiennictwie bardzo nieliczne. Mamy tu cztery obrazki dziejowe, napisane żywo i umiejętnie. Treść ich bardzo ciekawa i zajmująca, a zasobna w wiele cennych szczegółów historycznych. Zarzucić jej tylko można pewną jednostajność. Całe opowiadanie obraca się w każdej, wyłącznie prawie około spraw miłosnych i wojennych. Pierwsze jednakże autor poruszył w sposób dla młodocianego pokolenia dosyć właściwy. Ostatnia powiastka o Floryanie Szarym i jego złym sąsiedzie, różni się treścią od trzech innych i urozmaica trochę zbiorek. Rzecz w niej zaczerpnięta żywcem z podania dziejowego. Trzy pierwsze zaś obrazki zawierają wskazane wyżej jednostajne sprawy powieściowe, wysnute na tle ważnych faktów dziejowych. W żywem opowiadaniu zaznacza tu autor ówczesne stosunki polityczne i ważne fakta historyczne, które tym sposobem utkwią na zawsze w umyśle młodocianym.

Pod względem ściśle pedagogicznym obrazki te nie mają wielkiej wartości, prócz specyalnego znaczenia, jakie im tło dziejowe nadaje. Z tego względu widzimy tu podniosły bardzo czynnik moralny. Innych motorów psychicznych mało tu napotykamy, głównie z przyczyny zbyt jednostajnej treści. Szkoda, że autor nie szukał skrzętniej w bogatym skarbcu podań dziejowych, gdzie wiele, bardzo wiele pięknych a rzeczywistych można wysnuć obrazów. Mamy nadzieję, że w przyszłości to uczyni. I ta jednakże książeczka, którą obecnie podarował młodzieży naszej, stanowi miły bardzo dla niej nabytek.

Zewnętrzna forma opowiadania zaleca się żywością i ciepłem, a język czystością bez zarzutu prawie. Drzeworyty są dosyć nędzne. Korekcie zarzucamy szkodliwe bardzo omyłki w datach (1489 zamiast 1409, dalej 1810 zamiast 1410).

A. P.

Z MIASTA, KRAJU I ŚWIATA.

— JW. Minister Oświecenia Publicznego, pragnąc nadać rodzicom, wychowującym swe dzieci u siebie w domu, sposoby dawania im o ile można najregularniejszego ukształcenia gimnazyalnego i badania ich postępów, a z drugiej strony, pragnąc pobierających takie wykształcenie prywatne postawić w warunkach o ile można równych z uczniami gimnazyów, odezwą z 29 listopada 1875 roku za Nr. 12,793, upoważnił: aby odtąd osoby z wychowania domowego, na własne żądanie ich rodziców, krewnych, opiekunów lub kuratorów, były przypuszczane w gimnazyach i progimnazyach okręgu naukowego warszawskiego, na równi i jednocześnie z ich uczniami, do egzaminów z przedmiotów kursu progimnazyalnego i gimnazyalnego, na zasadzie zatwierdzonych przez ministerstwo 8 grudnia 1872 roku, przepisów o egzaminach, i przytem z zachowaniem następujących przepisów:

1. Osoby z wychowania prywatnego mogą, na żądanie ich rodziców, krewnych lub opiekunów, zdawać egzamina, na równi i jednocześnie z uczniami gimnazyów i progimnazyów, z wszystkich przedmiotów przechodzonych w niższych czterech klasach tych zakładów naukowych, i następnie, w razie zadawalniających rezultatów tego pierwszego egzaminu, mogą zdawać, po upływie dwóch lat, drugi egzamin z kursów V i VI klasy.

2. Do każdego z tych egzaminów przypuszczają się osoby z wychowania prywatnego po dojściu przez nie do wieku normalnego, ustanowionego dla odpowiednich klas gimnazyów, to jest do pierwszego egzaminu przypuszczają się ci, którzy skończyli co najmniej lat 14, a do drugiego ci, którzy skończyli co najmniej lat 16. Zresztą brak dwóch lub trzech miesięcy do pomienionego wieku nie może stanowić przeszkody w wypadku, jeżeli powierzchowność pomienionych młodzieńców świadczy o dobrym stanie ich zdrowia.

3. O rezultatach egzaminu, zakład naukowy wydaje świadectwo, z zaznaczeniem w niem, w razie dostateczności egzaminu, że świadectwo to nadaje wszelkie prawa, jakie nadane są tak w służbie cywilnej, jak i pod względem odbywania obowiązku służby wojskowej, tym którzy ukończyli odpowiednią klasę gimnazyum lub progimnazyum.

4. Osoby z wychowania prywatnego, mające świadectwa o dostatecznem zdaniu przez nie pierwszego z pomienionych egzaminów, mogą po upływie najmniej dwóch lat po drugim egzaminie, zdawać egzamin dojrzałości z tych tylko przedmiotów i na tych samych podstawach, jak i uczniowie najwyższej klasy gimnazyów.

5. Osoby pragnące aby ich dzieci zdawały jakikolwiek bądź z wyżej wymienionych egzaminów, powinny podać o to prośbę do dyrektora gimnazyum lub dyrektora i inspektora progimnazyum, na miesiąc przed nastaniem egzaminów, z dołączeniem ustanowionego świadectwa o wieku mającego zdawać egzamin i wiadomości o jego prywatnej nauce i z złożeniem 10 rubli na rzecz egzaminatorów, która to opłata w żadnym razie nie zwraca się i rozdziela się pomiędzy egzaminatorów, na podstawie obowiązujących obecnie przepisów.

O takiem rozporządzeniu JW. Ministra Oświecenia Publicznego, Kurator okręgu naukowego warszawskiego podaje niniejszem do wiadomości powszechnej.

— O pożarze w Bochni nie mamy obfitych szczegółów, i mieć ich nawet nie można, żar tli w podziemiach, zwęgla drewniany materyał stęplowania, ogradzając się gęstemi kłębami dymu i ziejąc śmiertelnym czadem....

Pożar wybuchł d. 30 grudnia. Maszynista zajęty był czyszczeniem maszyny parowej w kondygnacyi zwanej *Beust*, i tak nieostrożnie obchodził się z ogniem, że zajęły się kłaki w szafie. Obok kłaków znajdowały się w tej szafie także nafta i olej, i to tłómaczy szybki i gwałtowny wybuch i rozszerzenie się pożaru. Nim się zdołano rzucić do ratunku, już drewniane podpory *Beusta* stały w płomieniach, a korytarze przytykające wypełniły się gęstym, ciężkim dymem, który tamował wszelki przystęp. Dym tak dalece był przykrym i gęstym, że nie podobna było zamurować korytarzy, co było najkrótszym i najskuteczniejszym sposobem uduszenia pożaru, przez odjęcie mu powietrza.

Z palącej się kondygnacyi *Beust*, dym dostał się do niższych kondygnacyj, w których właśnie pracowali górnicy. Ostrzeżeni robotnicy poczęli uchodzić przed niebezpieczeństwem, siedmnastu jednak nie mogło się już ratować ucieczką. Wydobyto ich dopiero po południu. Dwunastu z nich wydobytych na wierzch, przywrócono do życia, jeden jakkolwiek żywy jeszcze, umarł wkrótce, jednego wyciągnięto już bez życia, trzech nieżywych zostawić musiano w głębi kopalni. Nadto zginęło wśród czadu i dymu trzech górników, którzy pospieszyli na dół, niosąc ratunek swym towarzyszom. D. 4 b. m. musiano zawalone boczne przejścia odemknąć, ażeby umożliwić poszukiwanie ciał nieszczęśliwych. Zwłok Jurdzika nie odnaleziono. Budowlom nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Ażeby zatamować przystęp powietrza, szyb zasypano ziemią; kopalnie mają być przez cztery tygodnie zamknięte. Z Wieliczki przybyło na pomoc kilkunastu starszych górników. Mieszkańcy Bochni okazują rozrzewniające współczucie nieszczęśliwym. Górnicy zachowują się spokojnie. Ogółem padło dotąd ofiarą osób 12; kilkunastu górników ocucono. Po zmarłych pozostało 10 wdów i 45 sierot. Rząd chce myśleć o ich zabezpieczeniu.

— W Poznaniu bardzo wiele wydarzyło się w tych czasach wypadków trychiny. Od d. 15 listopada bowiem rewizorowie mięsa wieprzowego, odkryli w 12-tu miejscach trychiny. Policya czuwa ściśle nad sumienną rewizyą wieprzowiny.

— W tych dniach w paryskiej głównej szkole prawa p. Kazimierz Waliszewski, po świetnem złożeniu egzaminów, bronił publicznie rozprawy swojej: „o położeniu cudzoziemców według dawnego rzymskiego i dzisiejszego francuskiego prawa,“ i otrzymał stopień doktora nauk prawnych.

— Z powodu wydanego pozwolenia kobietom zajmować się adwokaturą, niejaki p. Taniejew ma zamiar wyjednać decyzyę na otworzenie w Moskwie kursów prawnych. Oprócz tego, jeden z zakładów prywatnych naukowych żeńskich w Moskwie, ma na celu wprowadzić w dwóch wyższych klasach kurs prawa. Wygotowanie programu odpowiedniego kursu poruczonem ma być jednej z osób należących do składu sądownictwa, która zarazem wykładać ma naukę prawa w rzeczonym instytucie.

— Gabinet archeologiczny przy uniwersytecie Jagiellońskim, ciągle się wzbogaca, dzięki licznym darom osób prywatnych. W tych czasach otrzymał od pp. Podczaszyńskiego, Brandla i hr. Przezdzieckiego kolekcyą fotografij starożytnych przedmiotów, a od hr. Chomentowskiego zabytki bronzowe rzymskie.

Дозволено Цензурою. Варшава 1 (13) Января 1876 г.

W drukarni J. Korzeniewskiego.— Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski.

Redaktor Henryk Perzyński.